



ALISON FRASER



Zatruta miłość

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Clare Anderson, niedawno zwolniona z więzienia, nie czuła palących promieni letniego słońca. Właściwie nic nie czuła. Mówiono o niej, że ma serce jak sople lodu.

Została bez środków do życia, więc musiała jak najszybciej znaleźć pracę. W dniu spotkania z ewentualnym pracodawcą postanowiła ubrać się na czarno. Chciała sprawić wrażenie osoby poważnej, a w rezultacie osiągnęła to, że wyglądała szaro i nieciekawie.

Louise Carlton, opiekunka społeczna, uznała, iż Clare mogłaby prowadzić dom jej bratu, który właśnie poszukiwał pomocy domowej. Clare bez przekonania zgodziła się na wstępną rozmowę.

Do Oksfordu dojechała pociągiem. Stamtąd pojechała autobusem do Chipping Haycastle, a resztę drogi odbyła pieszo.

Stała przed dwupiętrowym domem o nazwie Woodside Hall. Zdziwiła się, że nie może otworzyć furtki, mimo iż Louise przyrzekła, że zostawi ją otwartą. Okazało się, iż furtka jest u dołu opleciona sznurkiem. Clare przykucnęła, by rozwiązać sznurek i w tej chwili usłyszała tłumiony śmiech, a wśród krzewów dostrzegła czubek głowy dziecka. Domyśliła się, że to Miles Marchand, bratanek Louise.

- Cześć! - krzyknęła.

Chłopiec nie odpowiedział i chyłkiem umknął.

Clare rozplątała sznurek i weszła na podjazd. Przeszła kilka metrów, gdy kątem oka dostrzegła linkę przeciągniętą w poprzek drogi.

- Nie stać cię na lepsze pułapki? - zawołała.

Odpowiedziała jej tylko cisza.

Podeszła do frontowych drzwi domu i zadzwoniła. Odczekała chwilę i ponownie zadzwoniła. Sądząc, że gospodarz jest w głębi domu i nie słyszy

dzwonka, postanowiła zastukać kołatką. Kołatka natychmiast odpadła, a z głębi ogrodu znów rozległ się śmiech. Wszystko to mogło jedynie oznaczać, że nowa gospodyni jest źle widziana, przynajmniej przez Milesa Marchanda.

Clare ogarniały coraz większe wątpliwości, czy w ogóle warto starać się o tę posiadłość. Nie miała przecież wielkiego doświadczenia w pracy z dziećmi. Jej syn należał już do tak odległej przeszłości, że niekiedy mogła myśleć o nim prawie bez bólu.

Obeszła dom naokoło, przez cały czas czując na plecach wzrok chłopca. Usłyszała rozmowę dobiegającą przez otwarte drzwi balkonowe. Podeszła bliżej i poznała głos Louise. Wyciągnęła rękę, by zapukać, lecz zastygła w bezruchu, gdy usłyszała rozmowę:

- Wybacz, Louise, ale chyba nie myślisz poważnie, że zaangażuję tę kobietę. Jeśli potrzebujesz dla niej zapomogi, dam ci, ile chcesz. Bardzo proszę. Nie wymagaj jednak, żebym wpuścił do domu jakąś... jakąś... diabli wiedzą kogo.

- To bardzo miła dziewczyna, a ma za sobą niezwykle ciężkie przeżycia. Gdybyś wiedział, co ona przeszła...

- Ale nie wiem, ponieważ nie chcesz mi nic powiedzieć.

- Tylko dlatego, że mógłbyś od razu się do niej uprzedzić - spokojnie odparła Louise. - Przyczyna, dla której tę kobietę skazano jest najzupełniej bez znaczenia...

- Twoim zdaniem - odciął się jej brat. - No, ale przecież nie ty masz wpuścić do domu jakąś złodziejkę, narkomankę albo być może nawet morderczynię.

- Przecież ci mówiłam, że ona była niewinna - wtrąciła siostra z pełnym przekonaniem.

Fenwick Marchand skwitował to zapewnienie szyderczym śmiechem.

Clare poczuła taką antypatię do mężczyzny, którego nawet nie widziała, że dalej podsłuchiwała już celowo i bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

- Ona nigdy mi się nie zwierzała - szczerze przyznała Louise. - Ale też nigdy mnie o nic nie prosiła. Ta inicjatywa wyszła ode mnie, bo wiem, że ona szuka pracy, a ty potrzebujesz kogoś do prowadzenia domu.

- Owszem, potrzebuję - zgodził się - ale nie byle kogo. Chcesz, żebym naraził Milesa na zły wpływ z jej strony?

- Mógłby trafić znacznie gorzej - broniła się Louise.

- Przecież już kiedyś trafił. Nie chcę, żeby znowu nauczył się czegoś złego.

- Daję ci moje słowo, że ona weszła na prostą drogę.

- No proszę - wtrącił Fenwick ironicznym tonem. - A mówiłaś, że była całkiem niewinna.

- Jest niewinna.

- No to dlaczego musiała wchodzić na prostą drogę?

- Ja... Gdzie jest Miles? Może nas podsłuchuje?

- Nie sądzę. Kiedy się dowiedział, że ma przyjść kolejna kandydatka, pobiegł do siebie i na pewno teraz obmyśla sposoby, jak się jej pozbyć. Oczywiście na wypadek, gdybym ja nieopatrnie ją zaangażował.

- Powiedziałeś mu o Clare? - spytała Louise z rozpaczą w głosie.

- O tym, że ma przyjść, owszem - rzekł. - Ale nie wspomniałem ani słowem, że to kryminalistka. Znając jego charakter, wiem, że na pewno chciałby, abym ją zatrudnił.

- A ty naprawdę nie masz takiego zamiaru? - W głosie Louise zabrzmiała błagalna nuta.

- Jeszcze nie zwariowałem - rzucił Fenwick.

- To mnie nawet dziwi... No, mam nadzieję, że przynajmniej będziesz uprzejmy i z nią porozmawiasz.

- Jeżeli koniecznie muszę. - Marchand westchnął ciężko. - Pod warunkiem, że ona się w ogóle zgłosi. Spóźniła się już dwadzieścia minut.

- Rzeczywiście. Ciekawa jestem, co się stało... - Louise urwała, gdyż w tej chwili dostrzegła Clare, stojącą nie opodal drzwi balkonowych.

- Wiesz, moja droga, przykro mi, ale jeśli ta twoja pupilka nawet nie raczy się pofatygować, żeby przyjść punktualnie...

- Fen! - szepnęła Louise i kiwnęła głową w stronę okna.

W tym momencie Clare postanowiła się wycofać. Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem, przekonana, że ani Louise, ani jej brat nie zechcą jej gonić.

Pomyliła się jednak, gdyż Marchand wyszedł i zawołał:

- Proszę zaczekać!

Ponieważ Clare się nie zatrzymała, dogonił ją i schwycił za ramię. Niechętnie się odwróciła i stanęła twarzą w twarz z Fenwickiem Marchandem. Doznała wstrząsu. Przypuszczała, że Louise ma brata w swoim wieku, czyli około lat pięćdziesięciu. Tymczasem stojący przed nią mężczyzna wyglądał na lat czterdzieści. Poza tym wcale nie był małym, zasuszonym naukowcem. Trudno było uwierzyć, że ów wysoki, przystojny blondyn jest profesorem politologii w Oksfordzie.

Mężczyzna był równie zaskoczony. Może spodziewał się, że ujrzy kobietę z numerem wytatuowanym na czole...

Patrzyli na siebie bez słowa. Wreszcie Clare szarpnęła rękę i nieco się odsunęła.

- Wcale nie mam zamiaru pani przeproszać - mruknął Marchand.

- Nikt pana o to nie prosi - rzekła Clare chłodnym tonem.

- Nie trzeba było podsłuchiwać. Normalnie wszyscy przychodzą od frontu.

- Ja też najpierw tam poszłam - rzuciła Clare. - Ale proszę... - Podała kołatkę.

Marchand patrzył na nią zdumiony.

- Skąd pani ją wzięła?

- Odpadła od drzwi, ledwo jej dotknęłam. Nie zamierzałam jej ukraść - dodała, nie czekając, aż usłyszy takie podejrzenie.

- Dziwna sprawa.

- Wcale nie. Ktoś ją wcześniej odkręcił - stwierdziła.

- Już ja wiem kto - domyślił się. - Dostanie za to.

- Chyba nie przeze mnie. - Clare wzruszyła ramionami.

- Przecież dzięki niemu zyskaliśmy na czasie.

- Jak mam to rozumieć? - ostro zapytał Marchand.

- Pan nie będzie musiał mnie o nic pytać, a ja nie będę musiała się wysilać, żeby zrobić na panu dobre wrażenie. Należy tylko wyjaśnić całą sprawę pańskiej siostrze.

Odwróciła się i zamierzała odejść.

- Chwileczkę! - Mężczyzna mocniej zacisnął palce na jej ramieniu. - Nie może pani tak po prostu odejść.

- A to dlaczego?

- No bo... myślę... przecież przyszła pani, żeby porozmawiać o ewentualnej pracy - niezdarnie tłumaczył profesor politolog.

- Ale pan nie chce mnie zatrudnić, prawda? - otwarcie zapytała Clare, a nie otrzymawszy odpowiedzi, dorzuciła:

- Nie ma tu nic więcej do powiedzenia.

- Pani pewnie myśli, że jestem bardzo ograniczony. A chyba nie jest ze mną aż tak źle.

- Czyżby?

Ton jej głosu świadczył o tym, że zupełnie nie interesuje jej to, jaki Fenwick Marchand jest naprawdę.

- Niech pani posłucha. Gdyby chodziło tylko o mnie, dałbym pani tę pracę, ale potrzebny mi ktoś, kto przypilnuje mego syna. Więc, jeśli mam być szczery...

- Nie chce pan, żebym uczyła pańskie dziecko złych rzeczy - przerwała bezceremonialnie. - Wiem. Słyszałam.

- Miałem zamiar powiedzieć coś na temat pani wieku. Siostra dała mi do zrozumienia, że dobiega pani trzydziestki.

- Mam dwadzieścia sześć lat - oświadczyła Clare.

- Nie wygląda pani na tyle.

- Mogę to udowodnić.

- Wcale nie mówię, iż pani kłamie... tylko że wygląda pani na mniej...

Może jednak wejdziemy do domu i porozmawiamy przy herbacie?

Clare znów wzruszyła ramionami.

- Czy to ma sens, panie Marchand? Przecież pan otwarcie wyraził swoją opinię. Nie zatrudni pan kryminalistki i trudno mieć to panu za złe. Mogę nawet szczerze wyznać, że ja bym siebie też nie zatrudniła - dodała z ironią w głosie.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Przynajmniej jest pani szczerą.

- Sędzia był innego zdania - rzuciła Clare.

- Hmm, moja siostra twierdzi, iż jest pani niewinna...

- Być może.

- Ale możliwe, że nie, co? Nie chce pani zbyt wiele powiedzieć, panno...

Jak się pani nazywa?

- Anderson.

- Panno Anderson. Proszę za mną.

Nie mówiąc nic więcej, poprowadził Clare do domu. Przy drzwiach natknęli się na Louise.

- Moja droga, jest mi naprawdę bardzo przykro. - Siostra Fenwicka Marchanda uśmiechnęła się przepaszająco. - Nie wiem, ile usłyszałaś, ale nie bierz sobie tego do serca. Mój brat taki już jest. Nie mówił wszystkiego poważnie. Prawda, Fen?

Marchand zdecydowanie zaprzeczył.

- Nie mówiłbym takich rzeczy, gdybym myślał inaczej. Nie ma sensu udawać. Panna Anderson nie jest głupia... Mam rację? - zwrócił się do Clare.

- Przynajmniej się staram - odparła beznamiętnie.

Jej odpowiedź wywołała uśmiech na twarzy mężczyzny.

- Chciałbym porozmawiać z panną Anderson w gabinecie. Lou, czy możesz podać nam herbatę?

- Ja... Oczywiście.

W gabinecie usiedli przy biurku zasłanym papierami. Fenwick Marchand założył okulary, wziął pióro i przystąpił od razu do rzeczy, pytając:

- Czy ma pani jakieś doświadczenie w prowadzeniu domu?

- Niewielkie - wyznała Clare i szybko dodała: - Wiem, że pyta mnie pan tylko dlatego, iż obiecał to siostrze, ale niech się pan nie fatyguje. Zrozumiałe, że nie chce pan zatrudnić byłej więźniarki. Natomiast ja, jeśli się zaraz pożegnám, zdążę złapać wcześniejszy pociąg do Londynu.

Marchand przyjrzał się jej uważnie.

- W jakiej dzielnicy pani mieszka?

- W Kensington.

- Ma pani mieszkanie?

- Nie, zatrzymałam się w hotelu.... dla zwolnionych z więzienia.

- Jak tam jest?

- Jak w pałacu - padła odpowiedź pełna ironii.

- Nie może pani zamieszkać gdzie indziej? U przyjaciół? Z rodziną?

Clare przecząco pokręciła głową.

- Od kiedy pani tam przebywa? - dopytywał się Fenwick Marchand.

- Od tygodnia.

- I może tam pani zostać, aż znajdzie coś odpowiedniego?

- Nie. Wszystkim przysługuje tylko trzymiesięczny pobyt.

- A co będzie, jeśli pani niczego nie znajdzie?

Clare wzruszyła ramionami.

- Jakoś sobie poradzę - odparła niechętnie.
- Nie jest to takie pewne. Bez pracy. Bez domu. Błędne koło.
- Jakoś to przeżyję - rzuciła twardym tonem.
- Prawdopodobnie - rzekł Marchand i obrzucił ją nieprzyjemnym spojrzeniem. - Atrakcyjna kobieta nigdy nie umrze z głodu.

Clare pominęła tę uwagę milczeniem. Brat Louise najwidoczniej miał złe zdanie o kobietach.

- Panno Anderson, odnoszę wrażenie, że pani jakoś nieszczególnie zależy na tej pracy. - Marchand znów przybrał ton wyższości. - Nie powiedziała mi pani nic, co mogłoby zrobić dobre wrażenie... Nie ma pani doświadczenia w prowadzeniu domu i wydaje mi się, że nie wie pani, jak sobie radzić z jedenastoletnim uparciuchem.

- A ostatnia gospodyni wiedziała?
- Owszem. Była to wdowa z trójką dorosłych synów.
- Jak długo tu wytrzymała?
- Ja... hmm... to chyba bez znaczenia. - Marchand nie chciał się przyznać, iż poprzedniczka wytrzymała zaledwie dwa tygodnie. - Okazało się, że jest tu za dużo pracy jak na jej słabe serce.

Wstał zza biurka i dodał:

- Ale nie o pani Brown mamy rozmawiać.

Clare uznała sprawę za skończoną, więc też się podniosła, lecz musiała usiąść z powrotem.

- Idę tylko zobaczyć, gdzie się podziała Louise z herbatą. Przepraszam.

Po chwili rozległ się szmer przy drzwiach balkonowych i do pokoju wszedł Miles.

- Gdzie jest mój stary? - rzucił aroganckim tonem, z wyraźnym amerykańskim akcentem.

- Nie mam pojęcia - odparła Clare chłodno. Nie zrażony tym chłopiec usiadł przy biurku.

- Czy ojciec dał pani tę pracę?

Clare, zapatrzona gdzieś w dal, nie odpowiedziała.

- A więc nie. Ja na pani miejscu bym jej nie przyjął.

Choćby dlatego, że pensja jest beznadziejna, a mój ojciec jeszcze gorszy. Poza tym ja za siebie nie mogę ręczyć. Mam zaburzenia nerwowe.

- Toś mnie zaskoczył - stwierdziła Clare ironicznie. Chłopiec jakby nie słyszał.

- Powiniennem chodzić do psychoanalityka. Wszystkie dzieci w Los Angeles mają swoich psychoanalityków, a mojemu ojcu szkoda pieniędzy na takie rzeczy.

- Naprawdę? - W głosie Clare nie było ani cienia zainteresowania. Już od dawna nie współczuła nieszczęsnym bogatym chłopcom.

Miles zmarszczył brwi zniecierpliwiony. Lubił zaskakiwać ludzi, a nie nudzić ich. Spróbował więc innego tematu.

- Proszę mi powiedzieć, czy pani na niego leci.

- Co takiego?

- Czy leci pani na mojego ojca? - powtórzył cierpliwie. - Tak się mówi w Ameryce. To oznacza.

- Wiem, co to znaczy i zapewniam cię, że nie. Clare poczuła ogarniający ją gniew.

- Dobrze, dobrze. Spokojnie. Zapytałem tylko z ciekawości, bo przedostatnia gosposia szalała za nim.

- A ty jej dokuczałeś, tak? W jaki sposób? Podrzucałeś jej żaby do łóżka? Albo zdechłe myszy pod drzwi?

- Niech pani nie żartuje - zaperzył się chłopiec. - To dziecinada. Ja wymyślam subtelniejsze sposoby.

- Czyżby? - Na twarzy Clare odmalowało się powątpiewanie. - Nie gadaj. Na pewno tylko się starałeś, żeby być ordynarnym i nieznośnym, a to wystarczyło. Ale, dziecino, przy mnie się nie wysilaj.

- Dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że jestem dużo gorsza, niż ty kiedykolwiek będziesz, a po drugie twój ojciec i tak mnie nie zaangażuje.

- Dlaczego? - powtórzył Miles.

Clare miała ochotę wyjawić główny powód. Chłopiec na pewno byłby zachwycony przebywaniem w towarzystwie prawdziwej kryminalistki. Jednak po chwili namysłu powiedziała tylko:

- Bo nie mam odpowiednich kwalifikacji.

- A to żaden kłopot. Ojciec jest w sytuacji podbramkowej, więc przyjmie byle kogo.

- Dziękuję - mruknęła Clare, a Miles uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją.

W tej chwili wszedł jego ojciec.

- Miles, a ty co tu robisz? - spytał ostro.

- Nic.

- Pewnie był niegrzeczny. Tak?

Chłopiec wtrącił się, nim Clare zdążyła odpowiedzieć.

- Ja tylko rozmawiałem... prawda? Clare skinęła głową i powiedziała:

- O tym, jak było w Ameryce.

Marchand przez chwilę patrzył to na jedno, to na drugie, po czym oświadczył, zwracając się do syna:

- Jeszcze nie skończyłem rozmowy z panną... hmm... A na ciebie czeka ciocia. Idź do kuchni.

- Jeszcze może panią złapię! - krzyknął chłopiec na odchodnym.

Clare zastanawiała się, co może oznaczać podejrzanym uśmiech na jego twarzy. Najprawdopodobniej nic dobrego. W oczach Marchanda pojawiły się isierki rozbawienia.

- Miles chyba poczuł do pani sympatię.

- Nie jestem taka pewna.

- Czasami bywa wprost nieznośny. Ale mój syn nie miał szczęśliwego dzieciństwa. Jego matka... rozstaliśmy się przed siedmioma laty. Przez pierwsze trzy lata Miles był ze mną, ale potem zamieszkał z matką... Pół roku temu zginęła w wypadku.

Clare odniosła wrażenie, że za tymi słowami kryje się znacznie więcej. Mimo to nie przejawiała zainteresowania i nie zachęciła do zwierzeń. Nie była ciekawa cudzych kłopotów, gdyż miała dość własnych.

- W związku z tym Miles nie jest najłatwiejszym dzieckiem - dorzucił Marchand - i wymaga starannej opieki. Na razie, aż do rozpoczęcia roku akademickiego, będę dużo w domu i zajmę się synem. Ale chciałbym, żeby gosposia też go od czasu do czasu przypilnowała... Ma pani jakieś pytania?

- Nie.

- Ani jednego? - Marchandowi nie podobał się zupełny brak zainteresowania z jej strony. - Wobec tego proszę zostawić mi adres, panno...

- Dobrze.

Clare odsunęła filiżankę, wstała i wyciągnęła rękę na pożegnanie. Kiedy doszli do drzwi wejściowych, Marchand zapytał:

- Jak pani tu dojechała? Samochodem?

- Nie. Pociągiem i autobusem.

- W takim razie odwiozę panią do Oksfordu.

- Nie musi pan - oświadczyła Clare, gdyż Fenwick Marchand nieszczerze się jej spodobał.

- Wiem, że nie muszę, ale i tak odwiozę. Proszę tylko chwilę poczekać. Pójdę uprzedzić siostrę.

Zaraz po jego odejściu zjawił się Miles.

- Dlaczego pani ojcu nic nie powiedziała? - zapytał, mrużąc oczy.

- A co miałam powiedzieć?

- Że niegrzecznie się zachowałem.

- Niegrzecznie? - Clare popatrzyła na chłopca z udanym zdziwieniem. - Nie zauważyłam.

- To znaczy, że pani zna okropnie nieokrzesanych ludzi.

- Istotnie - przyznała Clare i skrzywiła się na wspomnienie towarzyszek ostatnich kilku lat. W Marsh Green nie ceniono dobrego wychowania.

Chłopiec z lekka się uśmiechnął i powiedział:

- Oni się tam o panią kłóca. Ciocia i ojciec.

- Tak? - rzuciła Clare bezbarwnie.

Nie była to zachęta do rozmowy, lecz chłopiec nie dał się zbić z tropu.

- Miałem oglądać telewizję, ale wolałem kręcić się koło drzwi i słuchać.

Ciocia twierdzi, że pani rozpaczliwie potrzebuje pracy, a tata się z nią nie zgadza. Mówi, iż z pani talentami ... że pani jest za mądra, żeby być gospodynią.

- Możliwe. Powiedz ojcu, iż wolałam iść pieszo. Do widzenia.

Miles ruszył za nią.

- Czy pani się na mnie gniewa? Myślałem, że pani chce wiedzieć, co oni tam mówią. Może by mój tata zmienił zdanie, gdyby mu pani powiedziała, jaką naprawę ma sytuację.

- Wątpię.

- Mogłaby pani spróbować - upierał się chłopiec.

- Nie zwracaj sobie tym głowy. Przynajmniej nie będziesz musiał się wysilać, żeby mnie odstraszyć.

- I tak by mi się to nie udało. Przecież pani się mnie nie boi, prawda?

- Oczywiście, że nie. A czy powinnam?

- Inne gosposie zawsze się bały. Pani Brown powiedziała ojcu, że należałoby mnie zamknąć. W domu wariatów.

- A jakie jest twoje zdanie? - spytała Clare, nie będąc pewna, czy chłopiec się przechwala, czy szczerze pyta.

Miles bacznie się jej przyjrzał.

- Czasami sam się siebie boję - wyznał. - Jestem nieraz taki wściekły, że chcę robić ludziom na złość. A już szczególnie ojcu.

- Ja też się czasami tak czułam - rzekła Clare. - I co pani wtedy robiła? Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

- Chyba nie mam prawa ci radzić, mój mały.

Widziała, że zawiodła dziecko, które się przed nią otworzyło, lecz nie mogła nic zrobić. Odwróciła się i oddaliła. Nie uszła jednak daleko, gdy usłyszała nadjeżdżający samochód.

- Niech pani wsiada - zawołał Marchand. - Autobusu i tak teraz nie będzie.

- Dziękuję, ale wolę iść pieszo - odparła Clare wyniośle.

- Co? Dwadzieścia kilometrów? To chyba żart! Ale skoro się pani upiera...

Włączył silnik i odjechał.

Clare była zadowolona z siebie do chwili, gdy stanęła na przystanku. Przekonała się, że do Oksfordu istotnie jest dwadzieścia kilometrów. Czuła, że zaczynają uwierać ją buty, lecz mimo to ruszyła przed siebie. Po pewnym czasie nadjechał jakiś samochód i się zatrzymał.

- Idzie pani do Oksfordu? - zawołał kierowca. - Mogę panią podwieźć.

Zawahała się, lecz młody człowiek wzbudził jej zaufanie, więc wsiadła. Nieznajomy jechał jak wariat i gadał jak najęty, ale dojechali szczęśliwie. Rozstali się nie opodal dworca.

Prawie natychmiast podjechał drugi samochód, ze znanym kierowcą.

- Kto to był? - zapytał Marchand bez żadnego wstępu. - Jakiś znajomy?

- Nie... Ale zaproponował, że mnie podwiezie.

- Ciekawe, co za to chciał?

- Ja... Nic! - rzuciła Clare z wściekłością. - Panie Marchand, nie wiem, za kogo pan mnie ma...

- Za idiotkę - przerwał jej obcesowo. - Facet jechał jak szalony i nie wiadomo, co mogło mu przyjść do głowy.

Clare zachnęła się i wycedziła:

- Potrafię dać sobie radę.

- Pewnie! A jakby panią zamordował?

- Niech pan mówi trochę ciszej!

- Dlaczego? Mam wrażenie, że pani lubi rzucać się ludziom w oczy. A szczególnie młodym mężczyznom. Być może liczyła pani na jakąś drobną przygodę...

- Jak ci...

Clare odsunęła się i z rozmachem uderzyła Marchanda w twarz.

Mężczyzna zaniemówił, po czym ogarnęła go niepoohamowana wściekłość. Postąpił krok w stronę Clare, lecz ona otworzyła usta, gotowa krzyknąć na całe gardło.

- Nie wrzeszcz! Nie rób z nas pośmiewiska!

- Niech się pan wypcha! I niech pan się wypcha tą swoją pracą dla mnie!

Odeszła, czując, że tym razem ona wygrała. Kiedy jednak później przemyślała całą sprawę, uświadomiła sobie, jak wiele straciła. Czuli, że prawdopodobnie i tak nie dostałaby tej pracy, gdyż nikt nie chce angażować byłych więźniów, lecz mimo wszystko poniosła porażkę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Minęły dwa tygodnie. Clare nie otrzymała żadnej wiadomości ani od Louise, ani od jej brata. Prawdę powiedziawszy, nie spodziewała się, by po owej burzliwej scenie któreś z nich chciało się z nią skontaktować.

Któregoś dnia usłyszała dzwonek przy drzwiach i poszła otworzyć.

- Louise! - krzyknęła zdumiona.

- Dzwoniłam do ciebie kilka razy, ale nikt nie odpowiadał - tłumaczyła się kobieta. - Chciałam przyjechać już w ubiegłym tygodniu, ale nie udało mi się, bo złapałam grypę. Czy mogę wejść?

- Ależ oczywiście, proszę. Miałam zamiar napisać do ciebie i przeprosić, ale...

- Przeprosić?

- Przecież wiem, że cię zawiodłam.

- Wprost przeciwnie - przerwała jej Louise - to ja powinnam cię przeprosić. Nie sądziłam, że mój brat ma tak ciasne horyzonty. Chociaż powinnam była pamiętać, iż zawsze były z nim kłopoty. Mama miała już czterdzieści lat, gdy się urodził i wkrótce potem zmarła. Wychowywały go różne gosposie, a kiedy miał osiem lat, znalazł się w szkole z internatem.

- Czy Miles też chodzi do takiej szkoły? Louise przecząco pokręciła głową.

- Nie. Dotychczas Fen uczył go sam, ale teraz jednak chłopcu grozi internat. Brat jest w sytuacji bez wyjścia i właśnie dlatego przyjechałam do ciebie...

Clare zmarszczyła brwi.

- Najlepiej, jeśli będę zupełnie szczerą - podjęła Louise. - W ubiegłym tygodniu, kiedy leżałam chora, Fen przyjął kolejną gospodynię, poleconą przez jakąś agencję. I...

- Nie przejmuj się - wtrąciła Clare, sądząc, iż rozumie, co gość chce powiedzieć. - Wiedziałam przecież, że nie da mi tej pracy. Trudno.

- Właśnie, że chce ci ją dać. Od razu. Jeśli tylko się zgodzisz... Chyba nie masz jeszcze nic innego?

- Nie, ale... - Clare czuła, że nie wszystko rozumie. - Jeżeli jest już ktoś inny, to...

- Był - sprostowała Louise. - Ta osoba wytrzymała tylko dwa dni. Najwidoczniej nie przypadła do gustu Milesowi, bo, nie ukrywając niczego, włożył jej do łóżka żabę. Zdechłą. Wiem, że to obrzydliwe, ale mogę cię zapewnić, iż nigdy przedtem nie posuwał się aż tak daleko. Był ordynarny i pyskował, to prawda, ale nie przekraczał pewnych granic. Nie rozumiem, skąd mu to przyszło do głowy.

Clare nie przyznała się, że to ona, niechcący, podsunęła chłopcu ten pomysł.

- Fen się wściekł jak nigdy. Oświadczył Milesowi, że pójdzie do szkoły z internatem, czy chce, czy nie. Taka perspektywa wprawiła chłopca w czarną rozpacz.

- Żal mi biedaka.

- Ja brata nie winię - szybko dorzuciła Louise. - Czy ma jakieś inne wyjście? Nie może przecież pracować i jednocześnie zajmować się synem. Teraz za późno, żeby wziął roczny urlop. Zresztą już kiedyś próbował.

- Naprawdę? - spytała zdumiona Clare.

- Fen nic na ten temat nie mówi, ale wiem, że gnębi go poczucie winy - wyznała Louise. - Myśli, że znowu syna zawiódł, ale przecież poprzednio nie mógł nic zrobić.

- Poprzednio?

- Kiedy Dianie przyznano prawo do opieki nad Milesem - wyjaśniła. - Brat chyba wspomniał o żonie, prawda?

- Właściwie nie.

- Poznali się w Oksfordzie. Diana była tak piękna, że wszyscy tracili dla niej głowę. Fen też zakochał się bez pamięci. Ich ślub odbył się po kilku miesiącach znajomości, a Miles urodził się rok później. Diana zupełnie nie nadawała się do roli matki. Bez troski zostawiła miesięczne dziecko mężowi i wybrała się z ojcem na wycieczkę jachtem. Przez pięć lat bez przerwy zostawiała męża i malca na łasce losu, aż wreszcie rzuciła Fena nieodwołalnie.

- Ale przecież wywalczyła sobie prawo do opieki nad synem - wtrąciła Clare.

- Tylko dlatego, że tak sobie życzył jej ojciec. Był to człowiek, który dorobił się wielkiego majątku i chciał go zostawić męskiemu potomkowi. Wziął na siebie koszt procesu, a jakiś idiota zasądził, że dziecko będzie szczęśliwsze z matką. Chłopiec nagle został przeniesiony ze wsi do domu dziadka w South Kensington.

- Nie mieszkał z matką?

- Oficjalnie tak, ale akurat wtedy Diana jeździła po świecie ze swym kochankiem, sportowcem. Fen widywał syna częściej niż ona. Każde spotkanie pogłębiało jego rozpacz, bo widział, że dziadek tak psuje wnuka, jak zepsuł córkę.

Louise urwała na chwilę.

- Niestety, nie mógł temu zaradzić. W końcu posypało się całe pasmo nieszczęść. Stary Derwent zmarł i zostawił dziecko córce. Diana nie chciała oddać syna mężowi, ponieważ jej ojciec lwią część fortuny zapisał wnukowi. Z zastrzeżeniem, że do jego pełnoletności pieniędzmi ma rozporządzać prawny opiekun Milesa.

- Więc tylko dlatego chłopca zatrzymała... - rzekła Clare i serce się jej ścisnęło, gdy pomyślała o losie dziecka.

- Fen był zrozpaczony. Wiedział doskonale, że Diana nie będzie dbać o syna, więc od razu wniósł sprawę do sądu. Wobec tego matka szybko wywiozła Milesa z kraju.

- Do Ameryki?

- Przez Australię i Amerykę Południową do Stanów - uściśliła Louise. - Przez pół roku stale zmieniała miejsce pobytu, wszędzie ciągnąc chłopca za sobą, a Fen czynił rozpaczliwe wysiłki, żeby uzyskać orzeczenie sądowe zobowiązujące Dianę do odesłania syna do Anglii.

Fenwick Marchand sprawił na Clare wrażenie ojca niemal zupełnie obojętnego w stosunku do syna, więc słowa Louise napełniały ją coraz większym zdumieniem.

Louise widocznie domyśliła się, że Clare odniosła niekorzystne wrażenie w czasie spotkania z jej bratem, więc dorzuciła czym prędzej:

- Fen i Miles byli bardzo z sobą zżyci, ale lata rozłąki zrobiły swoje. Chłopiec uważa, że ojciec go zawiódł, a Fen chyba też czuje to samo. Chce synowi wszystko wynagrodzić, lecz jednocześnie stara się go nie zepsuć... Ale wróćmy do celu mojej wizyty. Ponieważ Miles gwałtownie broni się przed internatem, brat zapytał go wprost, jakie rozwiązanie on sam widzi. I nigdy byś nie zgadła, co chłopiec powiedział...

Louise urwała. Clare wprawdzie się domyśliła, o co może chodzić, lecz wydało się jej to nieprawdopodobne.

- Otóż, wyobraź sobie - w głosie Louise brzmiała nuta prawdziwej satysfakcji - iż chyba przypadłaś chłopcu do serca, bo obiecał ojcu, że jeżeli ty będziesz im prowadzić dom, on postara się zachowywać idealnie. I co ty na to?

Clare nie czuła się tak uszczęśliwiona, jak można byłoby się spodziewać.

- A jak zareagował pan profesor? - spytała.

- Mój brat... hmm... najpierw zaniemówił. Potem długo się zastanawiał, ale teraz już ten pomysł zaakceptował.

- Jaki pomysł?

- Że ty poprowadzisz dom. Uznał, iż w czasie pierwszego spotkania był mocno do ciebie uprzedzony. Teraz jednak postanowił cię zaangażować. Najpierw tylko na miesiąc. Co ty na to?

Louise uśmiechnęła się szeroko, przekonana, że propozycja zostanie przyjęta z zachwytem.

Clare uśmiechnęła się z przymusem. Lubiła Louise, lecz niekiedy zastanawiała się, jak to możliwe, aby kobieta w jej wieku myślała o wielu sprawach tak naiwnie. Jej zdaniem Louise powinna zdawać sobie sprawę z tego, iż brat angażuje byłą kryminalistkę tylko do chwili, gdy synowi minie obecny nastrój. Ów próbny miesiąc zależał od humorów dziecka.

- Będziesz miała własne mieszkanie wydzielone w domu - dorzuciła zachęcająco - a pensja wynosi osiem tysięcy funtów plus utrzymanie.

- Osiem tysięcy? - zapytała Clare z niedowierzaniem. Louise opacznie to zrozumiała.

- Przyznaję, że i mnie wydało się to trochę mało, ale przecież nic nie będziesz wydawać na życie.

- Ja nie mam zastrzeżeń - pospiesznie zapewniła Clare.

- Przecież zupełnie brak mi doświadczenia. Prawdę powiedziawszy, to jest więcej, niż się spodziewałam.

- Nie myśl o tym. - Louise uśmiechnęła się. - Fen jest zamożny. Ma całkiem niezły majątek po rodzicach, a do tego dochodzi jego profesorska pensja.

- Kiedy mam podjąć pracę?

- Jak najszybciej. - W głosie Louise brzmiała ulga. - W tej chwili ja tam rządę, ale przecież muszę wrócić do Londynu za dzień lub dwa. Jest tyle spraw, które dawno już powinnam załatwić, lecz przeszkodziła mi choroba.

- I tak pracujesz stanowczo za dużo - gorąco zapewniła Clare. I dodała: - A ja mogę zacząć od zaraz. Już się pakuję.

- Jesteś pewna, że możesz pojechać tam jeszcze dzisiaj? Wobec tego podrzucę cię samochodem.

- Szkoda twojego czasu. Mam tylko jedną walizkę, więc mogę jechać pociągiem.

- Jedną walizkę? Moja droga, przecież będziesz potrzebować trochę więcej rzeczy. Kupimy więc coś po drodze.

Clare pokręciła głową i otwarcie przyznała:

- Nie mam pieniędzy.

- Nie szkodzi. Ja ci zafunduję.

- Serdecznie dziękuję, ale wołałabym poczekać do pierwszej pensji.

Dopiero wtedy coś sobie kupię.

- Clare, nie upieraj się i zrób mi tę przyjemność. Wiesz, że na biedną nie trafiło.

- Jesteś ogromnie miła, Louise, ale mimo to wołałabym nie nadużywać twojej dobroci. Jedyne, co może mi się przydać, to jakiś fartuch albo suknia robocza, a coś takiego chyba zostało po poprzedniczkach.

- Na pewno coś jest, ale wszystko będzie na ciebie stanowczo za duże. - Obrzuciła Clare zatroskanym spojrzeniem.

Młoda kobieta wzruszyła ramionami. Wiedziała, że prezentuje się nie najlepiej. Była tak chuda, iż wyglądała jak chłopiec. Dawniej byłaby tym zmartwiona, lecz obecnie nie przywiązywała wagi do swego wyglądu.

- Wiesz, jak bardzo chciałabym ci pomóc. Rzeczywiście pomóc.

- Już mi pomogłaś, bo znalazłaś dla mnie pracę.

- Nie mówię o pracy. Chciałabym, żebyś była wobec mnie bardziej otwarta, byś mi wszystko o sobie opowiedziała.

Louise położyła dłoń na ramieniu Clare, którą dużo kosztowało, by się nie odsunąć. Nie chciała nikomu się zwierzać, nawet osobie, która tyle dla niej zrobiła.

- Przecież wiesz, za co mnie wsadzili.

- Wiem. Ale nie mogę uwierzyć, żebyś ty naprawdę coś takiego zrobiła. Właśnie dlatego nic nie powiedziałam bratu...

- A jeśli mnie zapyta? - zaniepokoiła się Clare. - Na pewno zechce się dowiedzieć, dlaczego siedziałam.

- No tak... Powiedziałam mu, że skazano cię za kradzież - przyznała się Louise. - Ale tylko tyle. Myślę, iż nie ma co się spieszyć z mówieniem wszystkiego.

- Jak uważasz.

Clare była przekonana, że i bez szczegółowych wyjaśnień pewnych spraw z przeszłości jej pobyt w Woodside Hall będzie krótki, a zapewne i przykry.

Kiedy zajęły przed dom, Louise powiedziała:

- Ale się mój brat zdziwi, gdy cię zobaczy!

Ujrawszy Clare, Fenwick Marchand był nie tylko zaskoczony, ale wręcz przerażony. Przynajmniej takie wrażenie odniosła jego nowa gospodyni.

Louise nie czekała, aż brat się odezwie.

- No, Fen, nie stój tu jak słup soli. Może nas zaprosisz do środka? Clare postanowiła zaraz podjąć pracę.

- Panno Anderson - przemówił wreszcie Marchand. - Zakładam, że siostra szczegółowo poinformowała panią o wszystkich warunkach.

- Tak... dziękuję - odparła Clare uprzejmie, ale chłodno.

- To dobrze - ciągnął Fenwick bezosobowym tonem. - Może pani podjąć obowiązki już jutro... jeśli to pani odpowiada.

- Najzupełniej.

- W porządku. Wobec tego zaprowadzę panią do pokoju, który dla pani przeznaczyłem. Czy ma pani jakiś bagaż?

Clare skinęła głową.

- Jest w bagażniku.

Louise podała bratu kluczyki od samochodu.

- Proszę. Bądź tak dobry i przynieś walizkę, a ja tymczasem pokażę Clare poddasze, na które ją wysyłasz. Chodźmy.

Clare wyobraziła sobie, iż na górze jest brudno i ciemno, że w pokoju stoi tylko wąskie łóżko i stolik, a na nim lichtarz z nędznym ogarkiem. Tymczasem to, co zobaczyła, w niczym nie przypominało służbówek opisywanych w powieściach, które przeczytała w więzieniu.

Właściwie nie był to pokój, lecz elegancka kawalerka z lśniącym parkietem i gustownymi stylowymi meblami. Wszędzie było jasno i ciepło.

- Szkoda, że tak wysoko - rzekła Louise przepraszającym tonem.

- Nie spodziewałam się... nie myślałam... że to będzie coś takiego.

Clare nie umiała wyrazić zachwyty, jaki ją ogarnął. Po warunkach w więzieniu i hotelu mieszkanie wyglądało, jakby było z bajki.

- Bardzo dużym minusem jest brak łazienki - dorzuciła Louise. - Będziesz zmuszona chodzić na dół. Wiem, że to niewygodne i krępujące, ale tutaj przynajmniej będziesz panią u siebie.

- Louise, to cudowne mieszkanie - gorąco zapewniła Clare i uśmiechnęła się uszczęśliwiona. - Nie spodziewałam się, że będzie tu tak ładnie.

Kobieta odwzajemniła uśmiech.

- Miło mi, że pokój ci się podoba. W dawnych czasach mieszkała tu służba i wtedy było tu brzydko. Ale przed laty Fen przeprowadził remont, żeby mój syn mógł wygodnie mieszkać w czasie studiów. Z tym, że od kilku lat chyba nie używano tych pomieszczeń...

- A pomoce domowe? Żadna tu nie mieszkała? Na twarzy Louise odmalowało się zakłopotanie.

- Właściwie nie. Większość z nich była na przychodne. Któraś z nich mieszkała w bocznych pokojach na piętrze... Fen sądzi jednak, że tobie lepiej będzie tutaj.

Clare posądzała Marchanda o inne motywy takiej decyzji. Z pewnością nie chodziło mu o to, co ona wolałaby; po prostu pragnął odsunąć ją możliwie

jak najdalej. Niewątpliwie uważał, że dla byłej kryminalistki odpowiedniejsze jest wyższe piętro.

Nie miała nic przeciwko takiemu rozwiązaniu.

Postanowiła, że będzie solidnie wywiązywać się z obowiązków, ale po skończeniu pracy zaraz pójdzie do siebie. Nie chciała być tak zwanym członkiem rodziny.

Po pierwsze dlatego, że czuła antypatię do swego chlebodawcy, a po drugie uważała, że gospodyni nigdy naprawdę do rodziny nie należy.

Pomyślała o sytuacji swej matki, która przez ponad piętnaście lat pracowała u lorda Abbotsforda. Jego żona zwykła była mawiać o swej gospodyni, że to „nieomal członek rodziny”, lecz Clare, nawet jako dziecko, dobrze wiedziała, iż to jedynie słowa. Puste słowa. Wiele lat później, gdy matka walczyła z rakiem, nikt z tej rodziny ani razu nie odwiedził umierającej.

Jej gorzkie rozmyślenia przerwało wejście Marchanda, który zdążył zauważyć wyraz twarzy swej nowej gospodyni.

Nabrał podejrzeń, iż ona już coś knuje.

- Fen - odezwała się Louise - miałeś doskonały pomysł. Clare jest zachwycona mieszkaniem.

- Tak - potwierdziła Clare chłodno.

- Sądząc z pani tonu, nie bardzo - mruknął Marchand.

- Zachowujesz się, jakbyś chciał od razu wystraszyć Clare na dobre - gniewnie rzuciła Louise.

- Coś mi się zdaje, że pannę Anderson nie tak łatwo przestraszyć.

- Być może, ale i tak postaraj się zachowywać trochę sympatyczniej. Nie chcesz chyba, żeby uciekła. Bo co wtedy zrobisz?

- Znowu zostanę bez pomocy.

- Otóż to. Przekonałeś się jednak, że sam nie dajesz sobie rady, więc choćby dlatego pokaż się z trochę lepszej strony.

Brat nie raczył odpowiedzieć.

- No, to wszystko załatwione - dorzuciła Louise. - Wobec tego ja już uciekam. Muszę jeszcze dziś wieczorem zająć się pewną sprawą nie cierpiącą zwłoki. Clare, gdybyś miała jakiś problem, natychmiast dzwoń do mnie.

- Dziękuję - odparła Clare, przekonana, że będzie miała niejednego kłopot.

- Czy ja też mogę liczyć na twoje dobre rady? - wtrącił Marchand głosem pełnym ironii.

- Mój drogi, nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek chciał słuchać moich rad - roześmiała się siostra.

- Może właśnie teraz zacznę - odparł brat, uśmiechając się nieznacznie.

- Proszę bardzo. Znasz mój telefon. - Louise podniosła się z miejsca. - Nie, nie musisz mnie odprowadzać - dorzuciła, widząc, że brat chce jej towarzyszyć. - Przed odjazdem chcę jeszcze zamienić kilka słów z Milesem. Zostań i dokładnie wyjaśnij Clare zakres jej obowiązków.

Po jej wyjściu zapadła cisza. Marchand pierwszy przerwał milczenie.

- Jeśli da mi pani adres - odezwał się - poślę po resztę.

- Po jaką resztę?

- Po cały bagaż.

- Nie mam nic więcej. Zabrałam wszystkie swoje rzeczy.

Fenwick zrobił wielkie oczy.

- Pani zawsze podróżuje bez bagażu, czy może ma zamiar tylko krótko tu zabawić?

- To od pana zależy, panie Marchand - chłodno odparła Clare. -

Przywiozłam wszystko, co posiadam, a w dodatku wymeldowałam się z hotelu.

- Wobec tego musimy od razu ustalić podstawowe zasady naszej współpracy.

- Słucham pana.

Przekrzywił głowę i uważnie na nią popatrzył.

- Mam nadzieję, że pani nie pali.

- Nie.

- To dobrze. Nie znoszę zapachu dymu papierosowego... A jeśli chodzi o picie?

- Picie?

- Alkoholu oczywiście - nieco złośliwie podpowiedział Marchand. - Jeżeli pani pije, to chciałbym wiedzieć, ile i jak często.

Clare zrobiła zdziwioną minę.

- Nie piłam od trzech lat.

- O, dzięki temu wiem przynajmniej, jak długo pani siedziała. A wcześniej? Czy pani przestępstwo miało jakiś związek z nadużywaniem alkoholu?

- Nie. Nie jestem alkoholiczką, jeśli to pan miał na myśli... Ani narkomanką.

- Nie pali pani i nie pije. Nie jest narkomanką. Czy ma pani jakieś wady, o których chciałaby mi powiedzieć?

Sądząc z jego tonu, Marchand wcale nie uwierzył w to, co usłyszał.

Clare wzruszyła ramionami. Nie miała najmniejszej ochoty przyznać się do podstawowej winy, która zawiodła ją aż do więzienia. Nie chciała mówić o ślepej, nieprzytomnej miłości do Johna Holsteda.

- A mężczyźni? - dociekał Fenwick. - Ma pani jakiegoś chłopca? - Skrzywił się z niesmakiem. - Czy z kimś się pani spotyka?

Clare zaczynała tracić cierpliwość.

- Nawet gdybym miała sympatię - odparła ostro - byłaby to moja osobista sprawa.

- Wprost przeciwnie - zaproponował Marchand. - Jeśli zamierza pani kogokolwiek tu przyjmować, jest to również i moja sprawa.

- Nikt nie będzie do mnie przychodził - oświadczyła tonem zdecydowanie kończącym rozmowę na ten temat.

- To dobrze. Nie chciałbym, żeby jakiś obcy mężczyzna nocował w moim domu. Chyba rozumie pani, o co mi chodzi?

Clare w milczeniu skinęła głową.

- No tak, to już chyba wszystko. Zacznie pani pracę od jutra. Przygotuje pani śniadanie... Chyba umie pani gotować?

- Jako tako.

Marchand nie miał zbyt zachwyconej miny, lecz nie rzekł już ani słowa. Odwrócił się i wyszedł.

Clare podejrzewała, że jest bardzo niezadowolony. Siostra zmusiła go do zatrudnienia byłej kryminalistki, która nawet nie raczyła się zdobyć na odrobinę wdzięczności. A na dodatek czuła narastającą niechęć do swego chlebodawcy. Uważała jednak, że stać ją na to, by zachowywać się z chłodną uprzejmością i sprawnie wywiązywać z obowiązków.

Uśmiechnęła się gorzko, gdy uświadomiła sobie, że nie będzie równie oddaną i wierną służącą, jak jej matka: „Tak, proszę jaśnie pani. Nie, proszę jaśnie pani. Oczywiście, proszę jaśnie pani”.

Bardzo ciekawe, czy matka chociaż jeden raz w życiu miała ochotę powiedzieć: „Niech jaśnie pani idzie do wszystkich diabłów”. Nigdy się już tego nie dowie. Natomiast wiedziała doskonale, jak bardzo matka była uzależniona od Holsteadów.

W czasie gdy rodzice się poznali, Tom Anderson pracował w stajni wyścigowej lorda Abbotsforda. Po ślubie młodzi małżonkowie zamieszkali w przydzielonym im domku na terenie posiadłości Holsteadów. Clare urodziła się po roku, a wkrótce po tym ojciec zginął w wypadku podczas wyścigów. Lord Abbotsford nie zdobył się na żadną finansową rekompensatę, lecz „z dobrego serca” pozwolił Mary Anderson zatrzymać domek, w zamian za pomoc przy wychowywaniu dwójki swych dzieci.

Holsteadowie mieli córkę i syna. Sarah była dwa lata starsza od Clare, lecz dziewczynki przez długie lata bawiły się razem. Kiedy Sarah skończyła jedenaście lat, posłano ją do szkoły z internatem. Johnny, starszy od siostry o pięć lat, zawsze tyranizował obie dziewczynki.

Dziecięca przyjaźń wkrótce poszła w niepamięć i drogi dziewczynek się rozeszły. Sarah i John przyjeżdżali na wakacje z nowymi koleżankami i kolegami i jakby nie zauważali dawnej towarzyszki zabaw. Clare czuła się nieco dotknięta, lecz rozumiała, że tak być musi. Wprawdzie ubierała się i zachowywała podobnie jak mieszkańcy pałacu, lecz to nie zmieniało faktu, iż od tamtych młodych ludzi dzieliła ją przepaść.

Sytuacja uległa zmianie, gdy Clare wyrosła i nagle okazało się, że jest wyjątkowo śliczną dziewczyną. Miała bujne, złocistorude włosy, łabędzią szyję i piękną figurę.

Jej brzoskwiniowa cera i wielkie, zielone oczy przyciągały wzrok. John Holstead nie pozostał obojętny na jej urodę.

Clare na chwilę dała się ponieść wspomnieniom, lecz prędko się otrząsnęła. Postanowiła już dawno, że nie będzie rozdrapywać ran i wylewać łez. Nie będzie wypłakiwać sobie oczu z powodu jakiegokolwiek mężczyzny.

Zajęła się rozpakowywaniem walizki. Wieszając rzeczy, zerknęła do lustra. Obrzuciła spojrzeniem swą smukłą sylwetkę i stwierdziła, że straciła dużo z dawnej niezwyklej urody. Była zbyt chuda, a w jej oczach czaił się smutek. Zamknęła szafę i odwróciła się. Drgnęła zaskoczona, gdy ujrzała Milesa stojącego przy drzwiach.

- Co ty tu robisz? - zapytała niechętnym tonem. Chłopiec wzruszył ramionami.

- Nic. A co? Wstęp wzbroniony? - burknął.

- Owszem. To mój pokój i nie wolno ci tu wchodzić bez mojego zaproszenia. Zrozumiano?

Nie ulegało wątpliwości, że mówi zupełnie poważnie.

- Dobrze, dobrze - mruknął Miles. - Przecież nie ma o co się złościć. Zresztą to dzięki mnie ma pani tę pracę. - W jego głosie zabrzmiała arogancja zepsutego dziecka. - Ojciec nie chciał pani przyjąć, bo jego zdaniem pani jest za młoda. A według mnie pani wcale taka młoda nie jest.

Clare skrzywiła się, lecz nie poczuła się urażona. Wiadomo, że dorosły człowiek nigdy nie wygląda młodo w oczach dziecka.

- Siadaj, jeśli chcesz ze mną porozmawiać.

Miles rozsiadł się na kanapie, nie wyjmując rąk z kieszeni. Najwidoczniej chciał dać do zrozumienia, że robi wielką łaskę.

- Czy umie pani pływać?

- Tak. Całkiem nieźle.

- A grać w tenisa?

- Nie.

Chłopiec skrzywił się.

- To konno pewnie też nie umie pani jeździć - rzucił pogardliwie.

- Wyobraź sobie, że umiem.

- Ale na prawdziwym koniu, nie na jakimś tam kucyku.

- Na najprawdziwszym - zapewniła go Clare i oczyma wyobraźni ujrzała piękne konie wyścigowe w stajniach Holsteadów. Za przywilej ich dosiadania musiała pomagać przy sprzątanii stajni.

- Kiedyś miałem własnego konia - pochwalił się chłopiec.

- Jakiego?

- Bułanego. Pochodził od kilkakrotnego zwycięzcy derby - dodał z dumą. Clare zrobiła pełną powątpiewania minę.

- Pewnie pani mi nie wierzy, co? Ale mogę przysiąc, że to prawda.

Dziadek mi tego konia kupił, ale matka go potem sprzedała. - Zamilkł na chwilę.

- Po śmierci dziadka posprzedawała wszystko, co się dało, żeby mieć pieniądze na podróżę z tym Richardo.

- Richardo? - bezmyślnie powtórzyła Clare.

- To jej argentyński kochanek - pogardliwie rzucił Miles.

- Grał w polo. Po każdym przegranym meczu wyładowywał złość na swoim koniu.

- Czy ciebie też bił? - spytała cicho.

- Nie. Tylko krzyczał, czasami. Ale ja się tym nie przejmowałem, bo wrzeszczał po hiszpańsku. A konia to on nie powinien bić, prawda?

- Rzeczywiście - przyznała Clare poważnie.

- Ale zostawmy go, bo już i tak nie żyje.

- Umarł? - Clare sądziła, że się przesłyszała.

- Zginął w wypadku samochodowym. Razem z moją mamą.

- Och! - Clare nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. - Na pewno za nią tęsknisz.

Chłopiec gwałtownie zaprzeczył.

- Wcale nie! Ani trochę. Przecież ja jej nic a nic nie obchodziłem!

Clare pokiwała głową i rzekła spokojnie:

- Jestem pewna, Miles, iż źle mamę oceniasz. Czasami dorośli zajmują się tylko swoimi sprawami, to prawda, ale to wcale nie znaczy, że...

- Co tam pani wie! - Chłopiec zerwał się na nogi. - Pani jest tylko służącą.

Clare i tym razem nie poczuła się dotknięta jego impertynencją. Widziała, że zaczerwienił się ze wstydu, lecz nie potrafił przeprosić. Bez słowa odwrócił się na pięcie i wybiegł na korytarz.

Zostawszy sama, rozejrzała się po pokoju i podsumowała swoją sytuację. Warunki finansowe i mieszkaniowe były bardzo dobre, więc postanowiła dołożyć starań, by unikać wszelkich konfliktów z Marchandem i jego synem. Położyła się na łóżku i oddała marzeniom. Jakże inaczej wyglądałoby jej życie, gdyby przyjechała do Oksfordu na studia, a nie do pracy. W szkole miała opinię bardzo zdolnej uczennicy. Była tuż przed maturą, gdy John Holstead wrócił z uniwersytetu, a ona zupełnie straciła dla niego głowę. I tym samym szansę na zdobycie wykształcenia.

Teraz nie mogła sobie darować, że tak wszystko zaprzepaściła. Nie pojmowała, dlaczego zawierzyła kilku gorącym słowom, których nie poparł żaden dowód prawdziwego uczucia. Johnny nigdy i nigdzie się z nią nie pokazywał, a mimo to wierzyła jego zapewnieniom o „wiecznej” miłości. Do

tego stopnia, że nie chciała przyjąć do wiadomości podanego w prasie zawiadomienia o zaręczynach Johna Holsteda z lady Elizabeth Beaumaris.

John tłumaczył swą decyzję tym, że podupadający majątek jego rodziny wymaga olbrzymich nakładów i tylko bogaty ożenek dziedzica rodu może rozwiązać problem.

Twierdził, że wśród arystokracji małżeństwa dla pieniędzy są na porządku dziennym. Miłość to jedna sprawa, a pieniądze druga. Był przekonany, że Clare bez oporów zgodzi się na rolę kochanki.

Tymczasem dla niej była to prawdziwa tragedia i zniszczenie wszystkich najpiękniejszych marzeń. Uciekła z domu, rzuciła szkołę i wyjechała do Brighton. Wróciła do domu dopiero po czterech latach, gdy u matki stwierdzono raka żołądka. Nie mogła postąpić inaczej, lecz niestety jej decyzja pociągnęła za sobą zgubne konsekwencje. Johnny nigdy jej nie szukał i przez te wszystkie lata nie odezwał się ani razu, więc Clare sądziła, iż teraz będzie podobnie.

Pomyliła się. Sprawy przybrały zupełnie nieprzewidziany obrót, doszło do tragedii w rodzinie Holsteadów, a Clare znalazła się w więzieniu.

Obecnie zaczynała życie od nowa i postanowiła, że nigdy już nie zaangażuje się uczuciowo. Nie chciała drugi raz przechodzić przez piekło, jakie już kiedyś przeżyła.

Żaden mężczyzna nie był tego wart.

ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego ranka Clare i Marchand spotkali się na półpiętrze.

- Dzień dobry. Już obudziłem syna.

- Dzień dobry.

- Przyjdziemy na śniadanie o ósmej.

- Dobrze, proszę pana. Mam ugotować coś konkretnego, czy tylko podać grzanki z dżemem?

Zmarszczył brwi, jakby był z czegoś niezadowolony.

- Proszę zrobić jajecznicę. Grzanki też. I kawę dla mnie.

- Oczywiście, proszę pana - odpowiedziała Clare z chłodną uprzejmością.

Zeszła na dół i rozejrzała się wokoło. Kuchnia była urządzona nowocześnie i funkcjonalnie. Wszędzie panował wzorowy porządek. W szafie przy drzwiach wisiało kilka fartuchów. Clare wybrała najmniejszy, lecz i tak mogła się nim owinać dwa razy. Wyglądała dość zabawnie.

Śniadanie było niemal gotowe, gdy ojciec i syn weszli do kuchni i usiedli przy stole. Clare zdziwiła się.

- Przepraszam, ale nakryłam w jadalni.

- Przecież my tam nigdy nie jemy śniadania - zawołał Miles z wyrzutem.

- Przepraszam. Zaraz wszystko przeniosę i nakryję tutaj.

- Powinienem był panią uprzedzić - rzekł Fenwick i wstał od stołu. -

Chodź, Miles, my się przeniesiemy.

Kiedy Clare wniosła grzanki, usłyszała niezadowolony okrzyk:

- To już ma być wszystko? Ja wciąż jestem głodny.

- Zaraz przygotuję następne grzanki.

- Nie trzeba. Miles, przeproś panią.

- Za co? - bronił się chłopiec.

- Dobrze wiesz, za co. Albo przepraszasz, albo marsz do swojego pokoju.

Chłopiec zacisnął usta i uparcie milczał.

- Przepróż natychmiast! - powtórzył ojciec z groźbą w głosie.

- Nie trzeba - wtrąciła Clare i prędko wyszła.

Po chwili Miles wszedł do kuchni i stanął przy drzwiach. Nie odezwał się ani słowem, lecz w jego oczach widniało zakłopotanie.

- Czy przygotować ci jeszcze coś do zjedzenia? - spytała Clare po chwili przykrego milczenia.

- Ojciec kazał mi panią przeprosić - wybuchnął chłopiec.

- A chcesz to zrobić?

- Nie.

- No to nie przeprasza - oświadczyła Clare i ruszyła w stronę jadalni.

- Ale pani mu naskarzy, że tego nie zrobiłem.

- Po co? I tak wciąż z ojcem zadzierasza. Dlaczego jeszcze masz mieć kłopoty przeze mnie?

- Sam jest temu winien, bo stałe się mnie czepia - żalił się Miles.

- To już nie moje zmartwienie.

Chłopiec popatrzył na nią spode łba i mruknął:

- Tata miał rację. Pani wcale nie będzie miała na mnie dobrego wpływu.

- Czy ojciec ci to mówił? - spytała zdziwiona.

- Tak... no, niezupełnie...

- Czyli tobie tego nie powiedział?

- Słyszałem, jak rozmawiał z ciocią. Ona długo przekonywała go, żeby jednak panią zaangażował. Tata był temu przeciwny.

Nic nowego, pomyślała Clare, wzruszając ramionami, i zmieniła temat.

- Czy ojciec i ciocia wiedzą, że podsłuchujesz? Chłopiec zgarbił się i cofnął pod ścianę.

- A bo co? Powie im pani?

- Znowu to samo. Wiesz ty co, najlepiej będzie, jeśli zawrzemy umowę. Ty nie wtrącaj się do mnie, a ja nie będę wtrącać się do ciebie. Zgoda? Teraz odsuń się, proszę.

Weszła do jadalni.

- Czy Miles był u pani? - zapytał Marchand.

- Tak - odparła Clare, zbierając brudne talerze ze stołu.

- No i?

- Powiedział, że pan mu kazał mnie przeprosić - odparła zgodnie z prawdą. - Moim zdaniem, to nie było konieczne.

- O tym, co konieczne, a co nie, ja sam będę decydował - oświadczył Fenwick stanowczo. - No, ale skoro przeprosił, nie ma o czym mówić.

Clare pomyślała, że jej chlebodawca jest zarozumiałym osłem, lecz odezwała się ugrzecznionym tonem:

- Dobrze, proszę pana. Czy to wszystko, proszę pana?

- Tak... Nie. - Marchand spojrział na nią z ukosa. - Co pani ma na sobie?

- Fartuch roboczy... proszę pana - odparła Clare z wyraźnym ociąganiem.

- Jest co nieco za duży... Wygląda pani fatalnie. Proszę. - Marchand wyciągnął portfel i podał trzydzieści funtów. - Niech pani kupi sobie coś bardziej twarzowego.

- Jaki to ma być ubiór, proszę pana?

- Nie wiem... - Marchand popatrzył z ukosa. - Cokolwiek, byle na pani figurę.

- Dobrze, proszę pana - powiedziała i zamierzała odejść.

- Niechże pani wreszcie z tym przestanie! - wybuchnął.

- Słucham pana?

- Dość tego „tak, proszę pana, nie, proszę pana” - rzucił, pogardliwie wykrzywiając usta. - Takie służalcze zachowanie może było dobre w więzieniu, ale tu jest obrzydliwe... Czy stać panią na uprzejmość bez unізoności, panno...?

- Urwał, gdyż widocznie jeszcze nie zdołał zapamiętać nazwiska nowej gospodyni.

- Nazywam się Anderson - podpowiedziała Clare i dodała niechętnie: - Postaram się.

- To dobrze - rzekł Fenwick i wziął do ręki gazetę. Clare wróciła do kuchni. Miles czekał na nią, zajadając płatki kukurydziane.

- Założę się, że pani wszystko powiedziała.

- O ile?

- Co o ile? - Chłopiec skrzywił się.

- O ile się założysz? O całe kieszonkowe czy o pół?

- To znaczy, że pani tacie nic nie powiedziała? - spytał Miles podejrzliwym tonem.

- Twój ojciec był przekonany, że mnie przeprosiłeś, a ja nie wyprowadziłam go z błędu - wyjaśniła i wzruszyła ramionami, jakby dając do zrozumienia, że ma dość tego tematu.

- Dziękuję - mruknął Miles.

Clare wzięła brudne talerze i niezdecydowana stanęła przed maszyną do zmywania naczyń. Nie wiedziała, jak się z takim urządzeniem obchodzić. Widząc jej wahanie, chłopiec podszedł bliżej.

- To całkiem proste - oświadczył. - Trzeba tylko otworzyć tutaj, wsypać odpowiednią ilość proszku, zamknąć i włączyć.

- Skąd mam wiedzieć, ile proszku wsypać?

- Tu jest miarka.. A proszek nie może być inny, tylko taki... Czy pani nigdy nie zmywała naczyń w maszynie?

- Nie. Może będziesz tak uprzejmy i pokażesz mi, jak się to robi?

- Dobrze. Bardzo proszę... Jedna gosposia od razu zepsuła zmywarę, bo wcale nie chciałem jej pomóc.

- To bardzo brzydko z twojej strony.

- Ona sama też była brzydka. A poza tym stale miała w czubie.

- W jakim czubie?

- No, była pijana. Bez przerwy pociągała z butelki.

- Nie wierzę - oświadczyła Clare, przekonana, że chłopiec najzwyczajniej kłamie.

- Naprawdę! Mogę to udowodnić. Podszedł do drzwi spiżarni.

- Proszę, niech się pani sama przekona. Założę się, że zostawiła butelkę, którą trzymała w słoiku na ostatniej półce.

Clare weszła na drabinę i zdjęła jeden słoik. Był pusty. W drugim była soczewica. Natomiast w trzecim stała butelka z odrobiną dżinu na dnie. W chwili gdy chciała ją odstawić, usłyszała głośne chrząknięcie. W drzwiach stał Marchand.

- Chyba trochę za wcześnie na urządzenie przyjęcia, nieprawda? - odezwał się, patrząc to na Clare, to na syna.

- Ja... my... wcale nie... - zaczęła jąkać się Clare.

- Lepiej ja to wyjaśnię - wtrącił Miles.

- Nie trzeba, synu - rzekł ojciec spokojnie i zmienił temat. - Czy jesteś już gotów? Moglibyśmy pojechać do Oksfordu.

- Ja... tylko skoczę po moje oszczędności. - W głosie chłopca brzmiała ulga.

- Spotkamy się przy samochodzie.

Po wyjściu Milesa, Clare odezwała się niepewnie:

- Wiem, co pan sobie pomyślał, ale to nie moja butelka.

Odważnie popatrzyła na swego chlebodawcę i wytrzymała jego chłodne, badawcze spojrzenie.

- Co pani powie! Po prostu butelka sama pani wpadła w ręce, tak?

- W pewnym sensie - przyznała Clare. - Szukałam groszku, a znalazłam tę butelkę. Pan pewnie uważa, że jest moja, ale ja naprawdę nie wiem, skąd się tutaj wzięła. Nie wierzy mi pan, prawda?

- Proszę sobie wyobrazić, że wierzę - odparł Marchand spokojnie.

- Naprawdę?

- Owszem.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie czuję zapachu miętowych cukierków. Gospośia, która popijała, namiętnie jadła miętusy. Zwolniłem ją natychmiast, gdy się zorientowałem, dlaczego to robi. Podejrzewam, że Miles chciał się pochwalić, iż wie, gdzie ona przechowywała alkohol.

Clare odetchnęła z ulgą. Uznała, że nie grozi jej natychmiastowe zwolnienie.

Marchand najwidoczniej odgadł jej myśli.

- Przyznaję, że mam co do pani pewne wątpliwości, ale z reguły zakładam, że ludzie są uczciwi. Co innego, gdy przyłapię kogoś na gorącym uczynku... Czy wyraziłem się dość jasno?

- Tak, prosz... panie Marchand.

- Cieszę się. - Powiedziawszy to, skinął głową i wyszedł.

Pierwszy miesiąc upłynął bez większych nieporozumień, lecz Clare nie zmieniła zdania o swym chlebodawcy, który odzywał się do niej tylko wtedy, gdy to było niezbędne. Jego postępowanie było najzupełniej bezosobowe.

Tymczasem Miles z każdym dniem coraz chętniej zaglądał do kuchni. Wprawdzie miewał humory i dość często odzywał się niezbyt grzecznie, lecz najwyraźniej szukał towarzystwa. Clare nie była w odpowiednim nastroju, by się chłopcem serdecznie zająć, więc zachowywała chłodny dystans. Poza tym, niepewna swej przyszłości, nie chciała nawiązywać bliższego kontaktu z dzieckiem, mającym żal do tylu osób, które je zawiodły.

Wymówienie mogło nastąpić każdego dnia. Jakaś kobieta, nazwiskiem Hailey, dzwoniła kilkakrotnie w sprawie pracy. Najwidoczniej Fenwick Marchand nadal kogoś szukał.

Clare nie bardzo się zdziwiła, gdy pewnego dnia poprosił ją, by po śniadaniu przysłała do jego gabinetu. Od razu postanowiła, że przyjmie wymówienie bez dyskusji.

Weszła do gabinetu i stanęła przy drzwiach.

- Proszę, niech pani siada. - Marchand wskazał krzesło przy biurku.

Usiadła i w milczeniu czekała na to, co usłyszy. Marchand sprawiał wrażenie, jakby był zakłopotany. Przekładał papiery na biurku, chrząkał, wreszcie się odezwał:

- Sądzę, że pamięta pani, iż właśnie dzisiaj kończy się okres próbny.

- Tak, nie ma o czym mówić. - Nie zazdrościła swemu chlebodawcy niezręcznej sytuacji, w jakiej się znalazł. - Byłabym wdzięczna, gdyby mi pan przedłużył angaż o tydzień i dał jakieś referencje. Może uda mi się znaleźć pracę u kogoś innego.

- Referencje? - spytał zdumiony.

- Mógłby pan napisać, że pracuję solidnie... oczywiście pod warunkiem, iż pan tak uważa.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Zdjął okulary, przetarł je i założył z powrotem.

- To znaczy, że jest pani gotowa odejść?

- Przecież nie będę z panem dyskutować i błagać o litość. - Wzruszyła ramionami. - Na pewno już pan podjął jakąś decyzję i jej nie zmieni.

- Obawiam się, że mówimy o dwóch różnych rzeczach, panno... - Nawet nie zadał sobie trudu, żeby przez miesiąc nauczyć się nazwiska swej gospodyni.

- Anderson - odpowiedziała nieco urażona Clare. - Jestem realistką. Wiem, że cały czas szukał pan kogoś innego. Kiedy ma przyjść?

- Kto taki? - Marchand udał zdziwienie.

- Ta nowa pomoc. Pośredniczka dzwoniła kilka razy.

- Wyjaśnijmy tę rzecz do końca. Pani uważa, że za jej plecami zaangażowałem następną gosposię, tak?

- Można to i tak ująć - powiedziała Clare, siląc się na obojętność.

Twarz Marchanda pociemniała z gniewu.

- Panno Anderson, nie wiem, z kim pani miała w życiu do czynienia - rzekł lodowatym tonem - ale ja zachowuję się wobec ludzi przyzwoicie. Powiedziałem, że angażuję panią na miesiąc próby i w tym czasie nie szukałem nikogo innego.

- Czyżby? - spytała Clare zaczepnym tonem. - A te telefony od pani Hailey? Z agencji. Czyżby dzwoniła do pana, żeby sobie porozmawiać o pogodzie?

- Nie powinna się pani interesować telefonami do mnie. Nie pani sprawa - rzucił Marchand ostrym tonem. - Mimo to mogę pani powiedzieć, że znalazła dla mnie pomoc, bo sądziła, iż nadal kogoś poszukuję. Poinformowałem ją, że na razie sprawa jest nieaktualna.

Clare zmieszała się.

- Prawdę powiedziawszy - dodał - jestem z pani pracy zadowolony i chciałem zaproponować podpisanie umowy na dłużej. Tymczasem łatwość, z jaką pani gotowa jest zrezygnować, każe mi jeszcze raz przemyśleć moją decyzję.

Clare zrozumiała, iż sama sobie zaszkodziła. Ogarnęła ją rozpacz.

- Kiedy oświadczył pan, że musimy porozmawiać - tłumaczyła się - byłam przekonana, iż chodzi o wymówienie. Przez cały miesiąc nie powiedział mi pan ani jednego dobrego słowa. Skąd mogłam wiedzieć, że jest pan ze mnie zadowolony? Przypuszczałam...

- Okazuje się, że to był pani błąd - bezceremonialnie przerwał Fenwick i dodał tonem wyższości: - Panno Anderson, jeśli mogę się ośmielić, radziłbym, żeby wobec przyszłych pracodawców zachowywała się pani nieco bardziej... nieco mniej buńczucznie.

- W jakim sensie? - Głos Clare nie brzmiał ugodowo. - Staralam się jak mogłam. Gotowałam, sprzątałam i nie wchodziłam panu w drogę. Przecież to zgodne z umową, prawda?

- Tak - przyznał Marchand, nieco poirytowany. - Ale mogłaby pani bardziej kryć się z tym, że tak tu pani źle.

- Wcale nie jest mi źle.

- Nie? A ja odnoszę wrażenie, że wolałaby pani być gdzie indziej. Może nawet z powrotem w więzieniu?

- A pewnie. Tam to jest prawdziwy raj - rzuciła Clare z gorzką ironią, czując, że bezpowrotnie traci pracę. - Nawet pan sobie nie wyobraża, jak fantastycznie spędzałam czas. Jakie wspaniałe miałam towarzyski, co za rozmowy! A życie tych dziewcząt! Doprawdy, można było wiele się nauczyć. Nie uwierzy pan...

- No dobrze, już dobrze. Zostawmy więzienie, bo wspomnienia stamtąd nigdzie nas nie zaprowadzą. Wróćmy do pracy. Jeśli chce pani coś znaleźć, i to na dłużej, musi pani pokazać się z lepszej strony.

Idiota! On nic nie rozumie, pomyślała Clare, głośno zaś powiedziała:

- Da mi pan referencje czy nie?

- Nie.

- Nie będę pana prosić.

Wstała i ruszyła w stronę drzwi. Marchand zastąpił jej drogę i mocno schwycił za ramię.

- Niech mnie pan puści - syknęła.

Skrzywiła się, czując, że palce mężczyzny zaciskają się coraz mocniej.

- Chwileczkę. Pani chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że praca u mnie jest pani jedyną szansą. I dlatego tak głupio się pani zachowuje.

- Niech pan się nie uważa za takiego dobroczyńcę. Doskonale sobie poradzę bez pana i posady tutaj - rzuciła wściekła.

- Doprawdy? - Marchand zrobił zdziwioną minę. - Jak? Bez referencji i z pani przeszłością?

- Ja... To nie pańska sprawa.

- Nie moja, ale mimo to powiem pani, co się stanie. Będzie pani dumnie odpychać każdą pomocną dłoń, aż wreszcie nikt nie wyciągnie do pani ręki. I co wtedy?

Clare nie chciała się przyznać do tego, że często budzi się w nocy i rozmyśla o przyszłości bez domu i bez pracy. Uważała, że Marchand i tak niczego nie zrozumie. Człowiek, który przeżył całe życie w dostatku nie jest w stanie pojąć sytuacji kogoś, kto nie posiada niczego, nawet własnego kąta.

Marchand zauważył, że mocno zbladła, więc odezwał się nieco łagodniejszym tonem:

- Niech mnie pani przez chwilę posłucha. To, że nie mam zamiaru dać pani referencji wcale nie oznacza, iż chcę panią zwolnić.

- Co? Ja... Dla mnie to było jednoznaczne. - W oczach Clare malowała się wielka niepewność.

- Pragnę, żeby pani u mnie została - oświadczył dobitnie.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Niemożliwe. Dlaczego? Moja postawa...

- Wychodzi mi już bokiem - przyznał Fenwick otwarcie. - Ale na szczęście nie to, co pani gotuje. W dodatku jest pani pierwszą gosposią, która toleruje Milesa. Więc, prawdę powiedziawszy, nawzajem potrzebujemy swojej pomocy.

Clare chciała powiedzieć coś złośliwego, lecz w porę ugryzła się w język.

- Mnie ta praca bardzo odpowiada - przyznała z ociąganiem - więc gotowa jestem zostać.

- To dobrze. - Marchand obrzucił ją baczny spojrzeniem. - Wydaje mi się, że jest pani stanowczo za chuda. Czy pani się porządnie odżywia?

- Co proszę? - spytała zupełnie zaskoczona.

- Nigdy nie widziałem, żeby pani coś jadła. Chyba nie cierpi pani na anoreksję?

- Oczywiście, że nie. Po prostu nie mam apetytu.

- Hmm. Może powinna pani jadać razem z nami... Tak, to najlepsze rozwiązanie.

Perspektywa wspólnych posiłków przeraziła Clare. Tym bardziej że propozycja została wyrażona jakby pod przymusem.

- Nie ma potrzeby - rzuciła.

- Ale to dobre rozwiązanie. Będziemy razem jadać obiady.

- Jak pan sobie życzy...

Na tym rozmowa się skończyła i Clare wróciła do kuchni. Zastała tam Milesa, który widząc jej ściągniętą twarz, spytał zaniepokojony:

- Czy stało się coś złego?

- Nie. Nic.

- Przecież dobrze widzę, że coś się stało. Chyba ojciec pani nie zwolnił, co?

- Nie. Jeśli już koniecznie musisz wszystko wiedzieć, to zostaję tu na dłużej.

Chłopiec przelotnie się uśmiechnął, po czym zaraz skrzywił się i zrobił jakby niezadowoloną minę.

- Nic dziwnego, że wygląda pani jak siedem nieszczęść. Założę się, że pani marzyła już o tym, żeby uciec z tej katorgi.

Clare nie odezwała się ani słowem.

- Głowa do góry. Jeszcze kiedyś dopisze pani szczęście - dorzucił Miles przyjaznym tonem.

- Jakie szczęście? - zapytał Marchand, który właśnie wszedł do kuchni.

Odpowiedziało mu zakłopotane milczenie.

- Tato, jedziemy? Mogę iść do samochodu? - przerwał ciszę Miles i wybiegł, nie czekając na odpowiedź.

- Za każdym razem, kiedy ja wchodzę, wy przerywacie rozmowę. Co to za spisek?

- Nie rozumiem, o czym pan mówi. - Clare zrobiła niewinną minę.

- To dziwne. Wydawało mi się, że jest pani wystarczająco inteligentna, by zrozumieć proste zdanie - ironicznie odparł Fenwick.

Clare zacisnęła pięści. Nikt jej nigdy tak nie działał na nerwy, jak ten człowiek.

- Mam nadzieję, że nie namawiacie się do złego.

- Proszę się nie obawiać. Znam swoje miejsce - obruszyła się.

- Swoje miejsce! - powtórzył niby echo. - Może pokornej służącej, co?

- Jak pan chce.

- Moja droga... Pani i pokorna służąca! Nigdy by mi to nawet nie przyszło do głowy - powiedział rozweselony.

Odpowiedziało mu wściekłe spojrzenie. Mężczyzna roześmiał się szyderczo i wyszedł.

Clare usiadła przy stole i patrząc przez okno, pogrążyła się w niewesołych rozmyślaniach. Przypomniała sobie całą rozmowę i postanowiła, że nadszedł czas, aby przestała się łudzić. Należało wreszcie stanąć mocno na ziemi. W jej sytuacji obecna posada rzeczywiście była zbawieniem.

Postanowiła schować dumę do kieszeni i od czasu do czasu dać chlebodawcy do zrozumienia, iż jest zadowolona. Umiała spojrzeć prawdzie w oczy, więc uznała, że istotnie ona bardziej potrzebuje Fenwicka Marchanda niż on jej.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego dnia po południu Clare była u siebie, pogrążona w lekturze, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę! O, Miles! Wejdz i siadaj. Opowiedz, jak było.

- Cudownie! - oświadczył chłopiec z entuzjazmem. - Bałem się, że to będzie tak nudne, jak zwykle lekcje, ale gdzie tam. Żeby pani widziała te konie! A jak wysoko skakały. Nie do wiary.

Miles zmienił się wręcz nie do poznania. Coraz rzadziej miewał napady przykrego humoru i już nie chodził po domu ze znudzoną miną. Teraz opowiadał o najnowszych wrażeniach z takim przejęciem, że aż dostał wypieków.

- Instruktor twierdzi, iż mógłbym być bardzo dobrym jeźdźcem - pochwalił się. - Ale mam za mało praktyki.

- Przecież miałeś konia, kiedy mieszkałeś u dziadka - zauważyła Clare.

- Koń był, ale dziadek nie miał czasu, żeby mnie zabierać na lekcje jazdy... Dobrze, że przynajmniej chciał mnie mieć u siebie - dodał głosem pełnym pretensji do całego świata.

Clare zmarszczyła brwi i powiedziała cicho:

- Przecież twój ojciec też pragnął cię mieć u siebie.

- Nieprawda - rzucił gniewnie. - Bardzo dobrze wiedział, jak mi w Londynie źle, a jednak mnie nie zabrał.

Clare czuła, że nie ma prawa ingerować w cudze i w dodatku zawile problemy, lecz mimo to rzekła:

- Posłuchaj. Niektóre sprawy nie są tak proste, jak się nam wydaje. Twoi rodzice wprawdzie się rozstali, ale oboje chcieli nadal być z tobą, a i dziadek pragnął, żebyś z nim mieszkał.

Wobec tego rozstrzygnięcie sporu pozostawiono sądowi. Wiesz, kto to jest sędzia i czym się zajmuje, prawda? Twój ojciec nie miał żadnego wyboru i musiał zgodzić się z jego decyzją.

Chłopiec wpatrywał się w Clare szeroko otwartymi oczyma. Najwidoczniej nikt mu nie powiedział o ingerencji sądu. Może i ona źle zrobiła, mówiąc o tym.

- Czy to prawda? Czy tatę naprawdę zmuszono, żeby mnie oddał?
- Tak. To była decyzja sędziego.
- A dlaczego mnie nikt nie zapytał o zdanie?
- Nie wiem - przyznała Clare. - Być może dlatego, że byłeś za mały.
- Też coś! Dorosłym się wydaje, iż wszystko wiedzą, a nie wiedzą nic...

Tylko pani jest inna. Pani jest wyjątkiem.

Clare uśmiechnęła się.

- Wcale nie. Jestem tylko gosposią. - Spojrzała na zegarek. - I w dodatku zapominam o swoich obowiązkach! Już najwyższy czas, żebym przygotowała obiad.

Wstała, włożyła fartuch i poprawiła fryzurę.

- Czy pani nigdy się nie maluje? - zapytał Miles. Clare przecząco pokręciła głową.

- Moja mama stale się pacykowała.

- Na pewno podkreślała swoją urodę. Założę się, że była bardzo piękną kobietą.

Chłopiec wzruszył ramionami; najwidoczniej nie lubił rozmawiać o matce.

Clare zeszła do kuchni. Zabierając się do pracy, wróciła wspomnieniami do przeszłości. I ona, jako dziecko, czuła się nie kochana. Teraz uważała, że chyba rzeczywiście nie darzono jej zbyt ciepłym uczuciem. Oczyma wyobraźni ujrzała siebie, przerażoną, że jest w ciąży, i matkę, do której zwróciła się o pomoc. Nie znalazła ani zrozumienia, ani współczucia. Usłyszała zimno

wypowiedziane słowa: „Nie myślałam, że jesteś taka głupia, ale jednak się tym zajmę”.

Clare poczuła ulgę, sądząc, że wszystko dobrze się ułoży, gdy matka weźmie ją pod swoją opiekę. Dopiero dwa dni później zorientowała się, co oznaczały beznamiętne słowa. Dostała od matki kilkaset funtów oraz adres pewnej kliniki, gdzie można się „tym” zająć. Zrozpaczona przepłakała całą noc, a następnego dnia spakowała swoje rzeczy. Pieniądze wzięła, lecz adres wyrzuciła.

Nawet po urodzeniu się Petera matka nie zaproponowała, żeby córka wróciła do domu. Dopiero tuż przed śmiercią wezwała ją do siebie. Jednak i wtedy nie zdobyła się na okazanie serca niechcianemu wnukowi.

Clare zrezygnowała z pracy i przyjechała do umierającej. Od razu zaproponowała zwrot pożyczki sprzed kilku lat i wtedy dowiedziała się, iż całą sumę wyasygnował lord Abbotsford, który wcale nie pragnął mieć nieślubnego wnuka.

Clare poczuła się niemile zaskoczona.

- Czy Johnny też się o dziecku dowiedział?

Matka gwałtownie zaprzeczyła, rzucając kilka niecenzuralnych epitetów.

Któregoś dnia Clare wracała ze sklepu, gdy usłyszała przeraźliwy pisk opon. Nie opodal zatrzymał się samochód, z którego wyjrzał John.

- Clare, nie poznajesz mnie? Dawno się nie widzieliśmy. Jesteś jeszcze piękniejsza niż dawniej.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Chyba mnie nie zapomniałaś, co? Bo ja ciebie wciąż doskonale pamiętam. - Zauważył dziecko bawiące się przed domem. - Czyj to maluch?

- Mój - sucho odparła Clare.

- No proszę, a ja myślałem, że będziesz mi wierna.

- Z jakiej racji? Czy ty pozostałeś mi wierny?

- Ja musiałem spełniać małżeńskie obowiązki. Wyznam ci, że to bardzo stresujące.

- Czyżby? A czy twoja żona wie, jak bardzo cierpisz?

Johnny wzruszył ramionami.

- Chyba nie. Wiesz, nas tak niewiele łączy... Ona lubi jeździć na nartach, a ja grać w golfa. Jej trasy narciarskie i moje pola golfowe są położone w tak odległych miejscach, że zgodziliśmy się na separację.

- Doprawdy? Życie klas wyższych pełne jest utrapień - rzuciła Clare z głęboką ironią w głosie.

- Zrobiłaś się sarkastyczna, moja miła - orzekł Johnny.

- Nawet bardzo.

Odwróciła się i weszła do domu.

John zaczął coraz częściej dzwonić, lecz Clare umiała się oprzeć jego prośbom o spotkanie. Bała się komplikacji, gdyby wyszło na jaw, kto jest ojcem dziecka.

Matka zmarła po długich cierpieniach i została pochowana obok męża. Cała rodzina Holsteadów przyszła na pogrzeb.

Lord Abbotsford udał, że Clare nie widzi, lecz jego żona złożyła jej kondolencje i łaskawie zapewniła, iż może nadal mieszkać w domu matki.

Clare chciała jak najszybciej się wyprowadzić, lecz znalezienie pracy i mieszkania okazało się bardzo trudne.

John często przyjeżdżał i nie krył się z tym, iż pragnie wskrzesić dawną miłość. Clare nie wierzyła jego zapewnieniom o głębokim uczuciu. Przekonała się o jego nieszczerości, gdy pewnego dnia zniknął bez słowa pożegnania.

W tym samym czasie zaczęła się choroba Petera. Okazało się, że zapadł na bardzo poważną chorobę krwi, której leczenie możliwe było jedynie w Stanach. Koszty terapii okazały się tak wysokie, że Clare była zmuszona

zwrócić się z prośbą o pomoc do dziadka dziecka. Lord Abbotsford nawet nie chciał wysłuchać jej do końca.

Wobec tego, kiedy John wrócił z wojaży, Clare poszła do niego. Powiedziała mu, iż jest ojcem dziecka, z którym niedawno tak chętnie się bawił. I że ich syn umrze, jeśli nie znajdą się pieniądze na natychmiastową kurację.

Początkowo obawiała się, że John wyprze się ojcostwa. Tymczasem on jedynie wpadł w rozpacz i zaczął rozwodzić się nad sobą i nad tym, jak bardzo skomplikował sobie życie. Twierdził, że jest biedny.

Clare nie mogła się zdobyć nawet na odrobinę współczucia. Całą swą miłość przelała na syna i tylko on zajmował jej myśli. Zażądała trzydziestu tysięcy funtów na leczenie. Taka suma mogła jej dziecku uratować życie, natomiast dla Holsteadów była drobiazgiem.

Johnny początkowo utrzymywał, że zupełnie nie ma pieniędzy. Jednak po kilku dniach przyjechał do Clare z pewną propozycją. Był mocno podenerwowany, lecz dość jasno przedstawił swój plan. Otóż postanowił sprzedać konia wyścigowego ze stadniny swego ojca. Clare miała być obecna przy transakcji i to ona miała otrzymać pieniądze od kupca. Jej zadaniem byłoby spłacenie wszystkich karcianych długów, zaciągniętych przez Johna w Londynie. Za taką współpracę miała otrzymać pieniądze na leczenie syna.

Wszystko ta wyglądało dość skomplikowanie, lecz Clare była tak przejęta chorobą swego dziecka, że na wszystko się zgodziła. Dopiero później się okazało, jak bardzo była naiwna. Jej łatwowierność zawiodła ją aż do więzienia.

Poczuła, że jest bliska płaczu, a nie chciała rozplakać się przy pracy. Z trudem się opanowała.

Ocierając spływającą po policzku łzę, drgnęła, gdyż usłyszała za plecami:

- Co się stało?

W drzwiach stał Fenwick Marchand.

- Co się stało? - niby echo powtórzyła Clare. - Ja... co miało się stać?

- To pani powinna mi powiedzieć.

- Nic takiego. Obierałam cebulę, więc...

- Czyżby? - Rzucił jej ironiczne spojrzenie. - Nie jestem kucharzem i nie rozróżniam warzyw, ale coś mi się wydaje, że pani trzyma ziemniaka, a nie cebulę.

Owa sarkastyczna uwaga pomogła Clare szybciej się opanować. Wiedziała, że gdyby nawet chciała wypłakać się na czyimś ramieniu, nie byłoby to ramię Fenwicka Marchanda.

- Trochę wcześniej kroić cebulę. Mężczyzna wzruszył ramionami i zapytał:

- Czy wie pani, gdzie się podział Miles?

- Pewnie jest w lesie... Może powinnam... - Urwała niezdecydowana.

- Słucham?

- Nie, już nic.

W oczach Marchanda pojawiło się coś niby troska.

- Jeżeli coś pani leży na sercu, proszę mi o tym powiedzieć. Wiem, że czuje się tu pani bardzo... osamotniona.

- Nie szkodzi...

Zmarszczył brwi. Stał chwilę bez słowa, po czym westchnął i rzekł:

- No, to spotkamy się przy obiedzie.

Clare wcale nie pociągała perspektywa jedzenia przy wspólnym stole i dlatego nakryła jedynie dla dwóch osób. Wniosła pierwsze danie i natychmiast usłyszała:

- Czyżby pani zapomniała, że ma jeść z nami?

- Ja... - zaczęła Clare.

Miles błagał ją wzrokiem, by się nie sprzeciwiała.

- Proszę przynieść jeszcze jedno nakrycie.

Clare posłusznie nakryła dla siebie i usiadła. Ojciec i syn rozmawiali o lekcji jazdy. Fenwick Marchand sprawiał wrażenie człowieka znającego się na

koniach. Miles nadal opowiadał o wszystkim z wielkim przejęciem. W pewnej chwili ojciec zreflektował się i rzekł:

- Nasza rozmowa pewnie panią bardzo nudzi.

- Słucham? - spytała zaskoczona Clare.

- Rozgadaliśmy się o koniach.

- Nie, ja... nic nie szkodzi. Miles dorzucił od siebie:

- Pani Clare jeździła kiedyś konno.

- Naprawdę? Myślałem, że jest pani typowym mieszczuchem. Gdzie pani jeździła?

- W Buckinghamshire - odparła z ociąganiem.

- Gdzie to jest? - zapytał Miles.

- Wiedziałbyś bez pytania, gdybyś czasami oglądał mapę Wielkiej Brytanii, którą ode mnie dostałeś - zauważył ojciec.

- Buckinghamshire leży na północ od Londynu - poinformowała go Clare.

- Hrabstwo sąsiadujące z naszym - uściślił Marchand. - A dokładniej, gdzie to było?

- Na południu hrabstwa.

Mężczyzna był wyraźnie niezadowolony z owej mało precyzyjnej odpowiedzi, lecz mimo to nie zażądał bliższej informacji. Zamiast tego powiedział:

- Skoro to tak blisko, może zechce pani odwiedzić rodzinę. Mogłaby pani pojechać moim samochodem.

- Jaguarem? - spytała Clare półzartem. Fenwick uśmiechnął się.

- Nie. Ale w garażu stoi mniejszy wóz. Do dyspozycji pomocy domowych, które nie mają własnego... Zapomniałem wcześniej o tym powiedzieć.

Clare nie dała się zwieść. Nie wątpiła, iż głównym powodem, dla którego chlebodawca przemilczał sprawę samochodu, była jej przeszłość. Zapewne obawiał się, że nowa gospodyni zniknie wraz z autem. Taka ostrożność nie

powinna budzić zdziwienia. Wiadomo przecież było, że Clare ma na sumieniu kradzież.

Oboje przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Ona pierwsza odwróciła wzrok, gdyż poczuła się zakłopotana spojrzeniem mężczyzny.

- Czy będzie pani korzystać z mojego samochodu?

- Nie wiem...

- Niech się pani zdecyduje - wtrącił Miles. - Wtedy mogłaby pani odwozić mnie na pływalnię.

- Toż to argument przeciw - zauważył ojciec.

- Przykro mi, że sprawię ci zawód - zwróciła się do chłopca - ale nie mam prawa jazdy.

- Nie umie pani jeździć?

Ojciec i syn byli jednakowo zdumieni.

- To żadna zbrodnia, prawda?

- Ależ oczywiście - zapewnił ją Marchand dziwnie łagodnym tonem. - Po prostu myślałem, że teraz już wszyscy młodzi ludzie umieją prowadzić samochód.

„Młodzi ludzie”?

Clare była zaskoczona, że i ją można tak określić. Przez ostatnich kilka lat wcale nie czuła się młodo.

- Ja musiałam uczyć się zupełnie innych rzeczy - powiedziała i zaraz najchętniej ugryzłaby się w język. Uświadomiła sobie, że jej słowa mogą być zrozumiane opacznie.

Fenwick wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Jakich rzeczy? - zainteresował się jego syn.

- Pewnie pani Clare studiowała na uniwersytecie - pospiesznie wtrącił ojciec.

- Nie - zaprzeczył Miles. - Wiem, bo sama mi mówiła, że nigdy nie była na studiach.

- O, widzę, że mojemu synowi opowiedziała pani o sobie znacznie więcej niż mnie... Ale wróćmy do tematu. Dobrze byłoby, gdyby się pani nauczyła prowadzić samochód. Załatwię jakieś lekcje.

- Nie stać mnie na naukę - wyznała Clare.

- Nie szkodzi. Ja pokryję koszty nauki.

- Dziękuję panu, ale nie skorzystam - rzekła stanowczo i wstała od stołu.

Po obiedzie Miles natychmiast poszedł do swego pokoju. Clare przyniosła Marchandowi kawę.

- Widzę tylko jedną filiżankę... - zauważył. - Proszę usiąść. Przyniosę drugą.

Zdumienie odebrało Clare mowę. Nie sądziła, że zostanie zaproszona również na poobiednią kawę.

Po chwili wrócił, napełnił filiżankę i podał ją Clare.

- Porozmawiajmy jeszcze o lekcjach jazdy - rzekł, siadając w fotelu obok.

- Naprawdę mnie nie stać - upierała się Clare.

- Możliwe. A ode mnie nie przyjmie pani dodatkowych pieniędzy, prawda?

- Nie.

- Wobec tego widzę tylko jedno wyjście.

- Jakie? - spytała, patrząc z ukosa.

- Potrzebna mi pomoc domowa, która umie prowadzić samochód - stwierdził Marchand obojętnym tonem.

Clare miała wrażenie, że znowu traci pracę. Ze strachu przestała oddychać.

- I widzę, że muszę sam panią uczyć.

- Słucham?

- Ja mogę panią uczyć. Dawałem kiedyś lekcje mojemu siostrzeńcowi...

Mam nadzieję, że pani jest choć trochę bardziej pojętna.

- Ale... - Clare nie wiedziała, jak ma zareagować na tak wspaniałomyślną propozycję. - Obawiam się, że to nie najlepszy pomysł.

- Bo będziemy sobie skakać do oczu, tak? Tego się pani boi?

- Nie... chociaż to wcale nie jest wykluczone.

- A nawet prawdopodobne, ale może jednak spróbujemy.

- Hmm... dobrze - zgodziła się niechętnie.

Wypiła kawę, podziękowała i szybko wyszła do kuchni.

Przez kilka następnych dni ze strachem myślała o lekcjach jazdy. Nie umiałaby jasno powiedzieć, dlaczego się ich tak obawia, niemniej jednak się bała. Nie było po temu żadnego wyraźnego powodu, gdyż Fenwick Marchand dotychczas tylko raz stracił panowanie nad sobą. Poza tym, ucząc Milesa, zawsze był cierpliwy i wyrozumiały.

Pierwsza lekcja miała się odbyć w poniedziałek. Tego dnia Marchand zajrzał do kuchni po dziesiątej i rzucił:

- Czas na lekcję. Spotkamy się w samochodzie.

- Ale ja jeszcze nie przygotowałam nic na lunch - powiedziała Clare, szukając jakiejś wymówki.

- Lunch nie ucieknie. Proszę się pospieszyć. W samochodzie Fenwick oświadczył:

- Niedaleko stąd jest opuszczone lotnisko sportowe. Najlepiej będzie zacząć naukę właśnie tam.

- Dobrze - potulnie zgodziła się uczennica. Marchand prowadził, spokojny i opanowany, natomiast

Clare czuła się coraz bardziej zdenerwowana. Kiedy zajechali na miejsce, zapytała z niepokojem:

- Czy na pewno można tu ćwiczyć jazdę?

- Pewnie nie można. - Mężczyzna wzruszył ramionami. - Ale liczę na to, że nikt nas nie zobaczy i nie zapłacimy mandatu... Proszę pomyśleć o czymś innym - dodał z przekornym uśmiechem.

- Nie rozumiem. - Clare zrobiła zdumioną minę.

- Przydałaby się jakaś lepsza wymówka.

Uczennica skrzywiła się. Wcale nie była zachwycona tym, że jej nauczyciel okazał się niezłym psychologiem.

- Zamieniamy się miejscami - usłyszała pierwsze polecenie. - Pani siada za kierownicą.

Posłusznie się przesiadła. Była coraz bardziej zdenerwowana, gdyż podejrzewała, że Marchand będzie ją traktował jak typową, mało rozgarniętą kobietę, która nie może zrozumieć najprostszych rzeczy związanych z samochodem.

Tymczasem, wbrew obawom, nie została wcale potraktowana z góry. Marchand udzielał wyjaśnień rzeczowo i jasno.

- Czy wszystko pani zapamiętała?

- Sądzę, że tak.

- Jest pani gotowa, żeby ruszyć?

- Tak.

Skupiła się, jeszcze raz powtórzyła kolejne czynności i ruszyła. Samochód dość gładko przejechał kilkanaście metrów.

- Proszę stanąć - odezwał się Marchand. - Jak na pierwszy raz, jechała pani doskonale - pochwalił szczerze.

Clare speszyła się i wyznała:

- To właściwie nie jest moja pierwsza jazda. Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Przecież mówiła pani, że...

- Że nie mam prawa jazdy - przerwała - i to jest prawdą. Ale już kilka razy w życiu siedziałam za kierownicą.

- Aha! To tak się sprawy mają - mruknął Fenwick, jakby urażony.

- Niczego pan nie rozumie! - wybuchnęła Clare. - Wcale nie jeździłam skradzionymi autami! Pewnie mi pan nie wierzy!

Marchand popatrzył jej prosto w oczy.

- No to, jak się pani nauczyła? - W jego głosie zabrzmiała wyraźna nuta powątpiewania.

- Miałam kolegę z samochodem. Jego rodzice mieli... posiadali duży majątek i tam kilka razy jeździłam razem z tym kolegą.

- Jakim samochodem? - zainteresował się nauczyciel.

- Zapomniałam.

Nie chciała się przyznać, że jeździła drogim autem, z dziedzicem wielkiej posiadłości.

Fenwick dostrzegł dziwny wyraz jej oczu i spytał głosem pełnym troski:

- Czy wiążą się z tym jakieś przykre wspomnienia? - Clare odwróciła głowę. - Nie pańska sprawa, profesorze - odpowiedział Marchand i roześmiał się, widząc jej zakłopotanie. - Ma pani bardzo wyrazistą twarz... Gdy się pani nie pilnuje.

Clare uśmiechnęła się i spojrzała Fenwickowi prosto w oczy. Natychmiast spoważniała i serce przestało jej bić. W owym ułamku sekundy zrozumiała, czego się tak przedtem obawiała. Cały czas podświadomie bała się bliskości mężczyzny takiego jak Marchand. Mężczyzny tak nieodparcie atrakcyjnego, iż zapewne pociągał wiele kobiet. Z przykrością uświadomiła sobie, że i ona nie jest wcale wyjątkiem. Poczula się zagrożona w swym postanowieniu, iż nie będzie angażować się emocjonalnie i nie zakocha się w żadnym mężczyźnie. Wiedziała, że jej wewnętrzny spokój może prysnąć w każdej chwili.

- Czy możemy już wracać do domu? - spytała przez ściśnięte gardło.

- Do mojego domu, tak? - sprostował Marchand. Clare rzuciła mu wściekle spojrzenie.

- Jasne, że mam na myśli Woodside Hall.

- Czy odważy się pani prowadzić na szosie? - Nie otrzymawszy odpowiedzi na pytanie, będące niemal wyzwaniem, dorzucił: - Radzę jeszcze kilka razy przejechać się naokoło po lotnisku i poćwiczyć cofanie.

Clare w milczeniu ruszyła, tym razem zbyt gwałtownie.

- Przepraszam.

- Nie ma za co - rzekł Fenwick łagodnie. - Niech się pani rozluźni. Trzeba ćwiczyć spokojnie.

Usiadł wygodniej i przestał robić uwagi. Spokojnie i umiejętnie pomagał tylko wtedy, gdy widział, że uczennica, popełniwszy błąd, zupełnie traci głowę. Clare niechętnie przyznawała przed sobą, że ma doskonałego nauczyciela.

Oczekiwała tonu wyższości, sarkastycznych komentarzy, nawet wybuchów złości, a tymczasem całe zachowanie Marchanda wpływało na nią uspokajająco. Dzięki temu uniknęła robienia wciąż tych samych błędów i mogła, opanowawszy jedną czynność, przechodzić do następnej. Udało się jej nawet prawidłowo cofnąć samochód.

- No, chyba na dzisiaj wystarczy - orzekł Fenwick. - Świetnie się pani spisała.

Owa pochwała sprawiła Clare dużą przyjemność.

- Dziękuję - rzekła cicho.

Marchand znów zasiadł za kierownicą. Wkrótce się okazało, że nie jadą w stronę domu.

- Czy jedziemy po Milesa?

- Później. Najpierw wstąpimy na lunch... Do domu już za późno.

Clare nie była zachwycona taką perspektywą, lecz nie umiała się sprzeciwić. Zatrzymali się przed przydrożną restauracją. Lokal był pięknie położony na wzgórzu nad kanałem. Jedna ściana sali była oszklona, więc widok na okolicę był wspaniały.

Kiedy weszli do środka, w Clare obudziła się kobieta. Przykro jej się zrobiło, że nie jest lepiej ubrana. Na szczęście inni biesiadnicy też na ogół byli

w strojach sportowych. Nikt nie zwracał uwagi na nowo przybyłych, więc Clare poczuła się lepiej. Natychmiast jednak ogarnął ją smutek, gdyż uświadomiła sobie, że już dawno nie była proszona na lunch do lokalu. Teraz zaś jest w restauracji ze swym chlebodawcą, który ją zaprosił jedynie dlatego, iż nie wypadało zostawić jej w samochodzie.

Fakt, że jest w towarzystwie mężczyzny najprzystojniejszego w całym lokalu jedynie pogarszał sytuację.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Jedzenie tu wprawdzie niezbyt wyszukane - odezwał się Marchand, gdy usiedli przy stoliku - ale za to bardzo smaczne.

- W porównaniu z moim na pewno jest wyśmienite. Fenwick przecząco pokręcił głową i szczerze zapewnił:

- Nie zgadzam się. Dawno już nie jadałem tak dobrze, jak przez ostatni miesiąc. Naprawdę.

- Dziękuję. - Clare uśmiechnęła się, zadowolona, i po zamówieniu wybranych potraw ośmieliła się zapytać: - Jak pan wspomina swoje szkolne lata?

- Szkoła podstawowa była niezła, natomiast ta z internatem straszna.

- Dlaczego?

- Bo wcale nie czułem się tam dobrze. Ale to wina mojego ojca. Uparł się, że będzie płacić bająnskie sumy za moją naukę w szkole, gdzie wszyscy chodzili w mundurkach z czasów Dickensa, a snobizm i zastraszanie młodszych były na porządku dziennym... - Fenwick wzruszył ramionami. - Mam nadzieję, że moja edukacja w ekskluzywnej szkole nie będzie argumentem przeciwko mnie.

- Postaram się o tym pamiętać.

Clare uświadomiła sobie, że odkrywa coraz bardziej zaskakujące cechy swego chlebobdawcy. Większość absolwentów szkół prywatnych z dumą wspominała swe szkolne lata. Wiadomo było powszechnie, że w tego typu szkołach kształciło się wielu polityków, a nawet kilku premierów.

- Czy Miles też pójdzie do takiej szkoły?

- Chyba po moim trupie! Nawet to moje półdiabły nie zasługuje na taki los - stanowczo oświadczył Marchand.

- Zresztą ostatnio zachowuje się coraz lepiej. Aż sam się dziwię... Od czasu kiedy pani zaczęła prowadzić dom, mój syn jest coraz grzeczniejszy.

Popatrzyli sobie prosto w oczy. Clare poczuła się nieswojo.

- Nie robię żadnych cudów.

- Naprawdę? - Mężczyzna spoważniał. - Miles teraz zachowuje się niemal bez zarzutu, a poza tym rozpira go radość życia. To najważniejsze.

- Nie widzę, żeby to miało jakiś związek ze mną. Marchand zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem pani. Odnoszę wrażenie, że pani nie chce, aby ludzie dobrze o niej myśleli. Nawet wypiera się pani tego, iż ma dobry wpływ na mojego syna.

- Po prostu nie chcę, żeby ludzie zbyt na mnie liczyli - odparła tonem świadczącym o tym, że uważa, iż temat został wyczerpany.

- Czy to ma być ostrzeżeniem dla mnie?

Clare w odpowiedzi jedynie wzruszyła ramionami. Było jej obojętne, jak jej słowa zostaną odczytane.

Marchand popatrzył na nią uważnie i zmienił temat rozmowy. Okazało się, że bez trudu znajdują wspólny język.

Pierwszego tematu dostarczyły przepływające tuż obok łodzie. Sieć kanałów przecinających Anglię stała się modna jako teren wypoczynku. Jednym z plusów spędzania urlopu na wodzie był brak telewizji. Clare i Fenwick

zgodzili się co do tego, że programy telewizyjne przyczyniają się do wzrostu przestępczości. Clare opowiadała się za wprowadzeniem ostrzejszej cenzury, lecz Fenwick wysuwał argumenty przeciwko ograniczaniu swobód obywatelskich. Od tego tematu przeszli do polityki.

- Czy myślał pan kiedykolwiek o czynnym zajmowaniu się polityką? - zapytała Clare, pełna podziwu dla logicznych argumentów swego rozmówcy.

- Dla kariery? Kandydowaniem na posła i tak dalej?

- Tak... Jestem pewna, że byłby pan bardzo odpowiednim człowiekiem.

- Dziękuję za komplement, ale chyba brak mi niezbędnej do tego ambicji oraz zainteresowania sprawami publicznymi. Nie mówiąc już o przekonaniach politycznych - wyznał i uśmiechnął się ironicznie.

- Nie rozumiem. Przecież musi pan mieć jakieś ustalone poglądy. Skoro wykląda pan politologię...

- Właśnie to jest powodem, dla którego powinienem być neutralny. Nie byłoby wskazane, żebym narzucał swoje poglądy studentom, ludziom młodym i łatwo ulegającym wpływowi.

- Ale przecież pan na pewno ma wyrobione zdanie na wiele spraw - upierała się Clare.

- Owszem - przyznał Fenwick. - To jednak nie oznacza, że mam wielką ochotę przekazywać je moim bliźnim.

Clare nie była pewna, czy Marchand mówi poważnie. Tego dnia zobaczyła swego chlebodawcę od innej strony i poznała cechy, o jakie go nie podejrzewała. Najpierw, wbrew jej obawom, okazał się cierpliwym i zdolnym instruktorem, teraz interesującym i mądrym rozmówcą. Najbardziej zaskakujące zaś było to, że jak na poważnego i szanowanego profesora jednego z najlepszych uniwersytetów w kraju, nie był wcale napuszony. Musiała przyznać, że jest to bardzo ujmująca cecha.

Czekając na deser, zaczęli obserwować elegancki jacht i postanowili odgadnąć, kto jest jego właścicielem.

- Lekarz z prywatną praktyką - orzekła Clare.

- Nie, to na pewno jakiś makler.

- Skąd ta pewność?

- Bo ma przy sobie telefon komórkowy - ze śmiechem odparł Fenwick. -

Proszę się uważnie przyjrzeć. Z kieszeni marynarki wystaje słuchawka. Clare wyteńczyła wzrok.

- Rzeczywiście.

- Założę się, że bez przerwy sprawdza sytuację na giełdzie. U wielu ludzi to już nałóg. Mój siostrzeniec też się temu nie oparł...

- Syn Louise, Gerry?

- Tak. Zna go pani?

- Nie. Podobno jest w Nowym Jorku.

- Wyjechał na rok - powiedział Fenwick i obrzucił Clare wiele mówiącym spojrzeniem. - Bardzo dobrze się składa, bo jest pani w jego guście.

- To znaczy? - niechętnie spytała Clare.

- Smukła, wysoka, rudowłosa - odparł tonem zdecydowanie lekceważącym.

- A jaki jest pański typ?

- Mój typ? - Mężczyzna zastanowił się przez chwilę.

- Jako młody człowiek lubiłem typowo angielskie dziewczyny z brzoskwiniową cerą, delikatne i kobiece. Lecz kiedy jedną z nich poślubiłem, gorzko się rozczarowałem. - W jego głosie zabrzmiała nuta pogardy. - Teraz chyba wolę mniej może kobiece, ale za to niezależne osoby, które nie udają, że są kimś innym... Nie mam pojęcia, do której kategorii panią zaliczyć.

Clare nie mogła niczego wyczytać z jego twarzy. Uznała, że jako pomoc domowa i tak jest poza nawiasem.

- Nie nazwałabym siebie kobietą niezależną - mruknęła.

- Prowadzenie czyjegoś domu to żadna kariera zawodowa.

- Rzeczywiście - przyznał Marchand. - A co by pani chciała robić, gdyby miała możliwość wyboru?

Wzruszyła ramionami i niechętnie wyznała:

- Obawiam się, że zaprzepącałam wszystkie życiowe szanse.

- Czemu? Tylko dlatego, że była pani w więzieniu? - zapytał Fenwick otwarcie.

- Sza! - syknęła Clare.

- Przecież nikt nas nie słyszy - zapewnił Marchand i rozejrzał się dokoła. - A nawet, gdyby ktoś coś usłyszał, to co? Odniosłem wrażenie, że pani ani myśli usprawiedliwiać się z tego powodu.

- Ale to jeszcze nie oznacza - twardo rzuciła Clare - że chcę o tym trąbić na wszystkie strony.

- Słusznie - przyznał Marchand. Po chwili jednak wrócił do poprzedniego pytania. - Ale nie powiedziała mi pani, co chciałaby robić.

- Bo nie jestem pewna. - Nieznacznie wzruszyła ramionami. - Bo ja wiem... Chyba poszłabym na studia.

- Uniwersyteckie? - W jego głosie zabrzmiało zdumienie. - A co by pani studiowała?

- Literaturę angielską osiemnastego wieku.

W pierwszej chwili miał ochotę się roześmiać, lecz spojrzawszy na skupioną twarz Clare, opanował się.

- Tego się po pani wcale nie spodziewałem.

- Myślał pan, że żartuję, tak, profesorze? - spytała Clare urażonym tonem.

- A czy to był żart? - Zajrzał jej głęboko w oczy, usiłując wyczytać w nich prawdę.

- Czy mogło to być coś innego? - Clare zdobyła się na uśmiech i natychmiast wstała. - Teraz muszę pana na chwilę przeprosić.

- Clare... - Przechylił się, ujął jej rękę i mocno przytrzymał.

Rzuciła mu spojrzenie pełne gniewu, on zaś wpatrywał się w jej twarz ze smutkiem w oczach.

- Przepraszam - rzekł cicho. - Czasami zachowuję się jak słoń w składzie porcelany.

- Ja... nie...

Szukając odpowiedzi, czuła, że wolałaby jednak mieć do czynienia z tym Fenwickiem Marchandem, który niczego nie rozumiał. Natomiast człowiek, który potrafi przeprosić, na pewno jest wrażliwy. Budząca się dla niego sympatia była niepokojąca. Oboje milczeli mocno zakłopotani. Wreszcie Clare oswobodziła rękę i odeszła bez słowa.

W toalecie podeszła do lustra i uważnie na siebie popatrzyła. Nie mogła sobie darować, że dała się ponieść emocjom i się ośmieszyła. Nie powinna była zdradzać swych najskrytszych marzeń podczas nic nie znaczącej, towarzyskiej rozmowy. Wiedziała przecież, że nigdy nie będzie miała możliwości pójść na uniwersytet, szczególnie zaś po to, by studiować coś tak mało praktycznego jak literatura.

Wróciła do stołu w ponurym nastroju. Nie miała ochoty na kawę, więc Marchand poprosił o rachunek. Po odejściu kelnera Clare odezwała się z chłodną uprzejmością:

- Dziękuję panu za zaproszenie na lunch, profesorze.

Nachmurzył się i spojrzał na nią poirytowany. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Clare prędko wstała. W milczeniu wyszli z restauracji.

W drodze powrotnej nie zamienili ani słowa. Clare uświadomiła sobie, że nie jest kobietą, która ma prawo z przyjemnością zjeść lunch w towarzystwie przystojnego, interesującego mężczyzny. Wprawdzie na krótko się zapomniała i beztrąsko rozmawiała, nawet o swych marzeniach, lecz na przyszłość postanowiła bardziej nad sobą panować. Nie chciała angażować się emocjonalnie, szczególnie gdy chodziło o obecnego pracodawcę.

Jej szczere postanowienie, by zachowywać dystans, okazało się trudne do zrealizowania. Główną winę za taki stan rzeczy ponosił sam Fenwick Marchand. Gdy pewnego dnia Clare celowo nie nakryła dla siebie, wstał i bez słowa komentarza przyniósł dodatkowe nakrycie. Podczas posiłków zawsze tak prowadził rozmowę, by nie wykluczać z niej Clare, mimo iż ona sama wolałaby pozostać nie zauważona.

Lekcje jazdy odbywały się bez zakłóceń i wkrótce umiała już tyle, że mogła prowadzić samochód na drogach publicznych. Nadal jeździli prawie codziennie i na ogół towarzyszył im Miles. Clare nie znalazła żadnego argumentu, by wymówić się od nauki. Bardzo pragnęła uzyskać prawo jazdy, a Marchand wyświadczał jej grzeczność i w dodatku był doskonałym nauczycielem. Mimo że serce jej mówiło o grożącym niebezpieczeństwie, ignorowała wszelkie ostrzeżenia.

Z każdym dniem wyraźniej sobie uświadamiała, że prowadzenie domu Marchanda daje jej coraz więcej satysfakcji. Po wielu latach przykrości i nieszczęść znalazła miejsce, gdzie poczuła się nieco lepiej.

Zaczynała zapominać o niemiłych przeżyciach w więzieniu i o całej tragedii, która ją tam zawiodła. Niepokoiło ją tylko to, że z rosnącą przyjemnością prowadzi dom obcego człowieka i coraz bardziej lubi nie tylko Milesa, ale i jego ojca. Doszła jednak do wniosku, że jest już dojrzałą i doświadczoną kobietą, więc nie zaangażuje się tak nierozsądnie, jak poprzednio. Postanowiła, iż nie straci głowy dla mężczyzny, który przez miesiąc nie zdołał zapamiętać jej nazwiska, a w dodatku często sprawiał wrażenie, jakby wcale nie pamiętał, kim ona jest.

Osobowość Fenwicka Marchanda była, tak złożona, że Clare niekiedy wydawało się, iż w ogóle nie zna swego chlebodawcy. Na co dzień bywał nieco roztargniony i często mówił, nawet o sobie, pół żartem, pół serio, więc trudno było wyobrazić go sobie jako poważnego profesora politologii. O tym jednak, że

cieszył się autorytetem w swej dziedzinie, świadczyły publikacje znajdujące się w jego gabinecie. Wprawdzie prace te nie rzucały się w oczy, gdyż nie stały wyeksponowane na głównej półce, lecz było ich wystarczająco dużo. Kiedyś Clare przejrzała książkę o sytuacji w Chinach i o tragedii na Placu Tienanmen. Wystarczył jeden rzut oka na kilka stron, by się przekonać, że profesor Marchand posiada niezwykle głęboką wiedzę. Odkrycie to bardzo ją zdumiało, gdyż początkowo uważała swego pracodawcę za człowieka zarozumiałego. Jednak fakt, że nigdy nie popisując się swą wiedzą dawał wiele do myślenia i zmuszał do zrewidowania pierwotnej niepocholebnej opinii.

Ponadto okazało się, że wcale nie jest snobem. Któregoś dnia Clare poinformowała go, że chciałaby zrobić zakupy w jakimś większym sklepie. Jej zdaniem w pobliskim sklepie były zbyt wysokie ceny i dość ograniczony asortyment towarów. Marchand nigdy nie pytał, gdzie Clare robi zakupy. Co tydzień wręczał jej określoną kwotę na wydatki domowe i więcej się tym nie interesował.

- Hmm... - Fenwick zamyślił się. - Chyba najlepiej pojechać do Oksfordu. Tam powinien być jakiś dom towarowy. Bliżej chyba nic nie ma... Ale najlepiej będzie, jeśli zadzwonię do siostry. Ona na pewno coś doradzi. Czy wystarczy, jeżeli dowiem się wszystkiego wieczorem?

- Tak, najzupełniej - zapewniła Clare, zdumiona i nieco rozbawiona.

Trudno jej było uwierzyć, że można nie wiedzieć tak prostej rzeczy, jak lokalizacja najbliższego domu towarowego. Była przekonana, że Marchand zawiezie ją pod dom towarowy i zostawi. Toteż jej zdumienie nie miało granic, gdy okazało się, iż pan profesor też wybiera się po zakupy. Spokojnie wziął wózek i posłusznie szedł od stoiska do stoiska. Clare przygotowała sobie listę artykułów, które chciała kupić i była przekonana, że załatwi to w ciągu godziny. Tymczasem zakupy przeciągały się w nieskończoność.

Najpierw Miles utknął przy czasopiśmie o komputerach i wydał na nie prawie całe kieszonkowe. Następnie jego ojciec zatrzymał się przy napojach

alkoholowych. Wybór wódek i win był ogromny, więc podjęcie decyzji o tym, co kupić, okazało się bardzo trudne i czasochłonne. Rachunek za całość zakupów był wprost astronomiczny, lecz Marchand zapłacił bez mrugnięcia okiem.

Przed powrotem do domu wstąpili do kawiarni. Kiedy usiedli przy stoliku, Miles natychmiast zaczął przeglądać swoje czasopisma.

- No, proszę! Mój syn zupełnie oszalał na punkcie komputerów - zauważył Marchand ironicznie.

Clare stanęła w obronie dziecka.

- Są znacznie gorsze sposoby spędzania wolnego czasu.

- Czyżby? - spytał Fenwick sceptycznym tonem. - Nie wydaje się pani, że rośnie nam pokolenie kretynów, którzy nic nie widzą poza komputerami?

Miles przerwał czytanie, popatrzył znacząco na Clare i mruknął:

- A nie mówiłem?

- Co to ma znaczyć?

Skierował pytanie do Clare, która zmarszczyła brwi, niezbyt zadowolona z tego, że chłopiec postawił ją w niezręcznej sytuacji. Fenwick nie spuszczał z niej oczu. Miles poderwał się i przeprosił, mówiąc, że musi pójść do toalety.

- Nic takiego, naprawdę. Po prostu Miles powiedział mi kiedyś, że na pewno nigdy nie dostanie komputera, bo pan uważa, iż ten wynalazek to gwóźdź do trumny cywilizacji.

Marchand uśmiechnął się.

- Widzę, że pani nie podziela tej opinii.

- Czy ja wiem... - Clare pokręciła głową. - Po prostu wydaje mi się to trochę za daleko...

- Co za daleko?

- Za daleko posuniętą krytyką.

- Być może... - przyznał, lecz jednocześnie się skrzywił. - Mój syn już raz ucierpiał przez komputer.

- Co pan przez to rozumie? - spytała zaintrygowana. Marchand odpowiedział po chwili wahania:

- Przez dziewięć miesięcy Miles mieszkał w Los Angeles. Matka kupiła mu komputer, zaangażowała hiszpańską pokojówkę, po czym zniknęła z jego życia prawie na dobre. Syn miał do towarzystwa właściwie tylko ten komputer.

- Musiał czuć się mocno osamotniony - rzekła ze współczuciem.

- Nawet bardzo. - Wspomnienie to wywołało grymas na twarzy Marchanda. - Kiedy po śmierci matki Miles wrócił do mnie, przez kilka pierwszych dni prawie wcale się nie odzywał. Już wykazywał chorobliwe objawy, więc musiałem go jakoś wyzwolić spod wpływu tego nieszczęsnego komputera. Bardzo długo nie mógł wrócić do równowagi. Prawdę powiedziawszy, zaczął być sobą dopiero od czasu, kiedy pani jest u nas.

Popatrzył na Clare z nie ukrywaną wdzięcznością, ona zaś pomyślała z goryczą, że Marchand akceptuje ją tylko dzięki synowi. Podejrzewała, iż w głębi duszy nadal jej nie ufa.

- Zapewniam panią - podjął Fenwick - że nie jestem przeciw komputerom jako takim. Są przecież pożyteczne i mają już stałe miejsce w naszym życiu. Ale nie chcę przyczyniać się do rozwijania obsesji syna.

Clare czuła, że taki punkt widzenia przemawia jej do przekonania, lecz mimo to nieśmiało zauważyła:

- Przecież mógłby pan postawić dość rygorystyczne warunki. Jeśli komputer nie będzie stał u niego w pokoju i jeżeli narzuci pan reżim czasowy, nie będzie żadnego problemu.

- Możliwe - przyznał Marchand, kończąc rozmowę.

Następnego dnia po obiedzie podjął temat omawiany poprzedniego dnia. Miles chciał już iść do swego pokoju, gdy ojciec go zagadnął:

- W przyszłym tygodniu są twoje urodziny. Czy nadal największym twoim marzeniem jest komputer?

Chłopiec skinął głową bez większego entuzjazmu. Nie wierzył, że w najbliższej przyszłości dostanie to, o czym tak bardzo marzy.

- Po rozmowie z twoim sprzymierzeńcem, panią Clare

- Fenwick uśmiechnął się krzywo - postanowiłem zmienić zdanie. Możesz dostać komputer, ale tylko pod warunkiem, iż to się nie odbije na nauce, że będziesz z niego korzystał tylko przez godzinę dziennie i nie będziesz wymyślał żadnych ogłupiających gier. Obiecujesz?

- Obiecuję, tato. Wszystko przyrzekam. - Chłopiec roześmiał się szeroko, od ucha do ucha. - Dziękuję ci, tatusiu - dodał uszczęśliwiony, po czym podszedł do Clare, objął ją i serdecznie ucałował. - Bardzo, bardzo dziękuję. Jest pani cudowna.

Zachwycony wybiegł w podskokach, a jego ojciec mruknął pod nosem:

- Ten to ma szczęście!

Nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Zarumieniła się i, aby ukryć zakłopotanie, zaczęła sprzątać ze stołu.

Marchand wziął talerze i zaniósł do kuchni. Clare udawała, że go nie widzi, lecz przygotowując kawę, cały czas czuła na sobie jego wzrok. Postawiła na tacy tylko jedną filiżankę.

- Proponuję, żeby i pani napiła się kawy - cicho odezwał się Fenwick.

Clare, nie wiedząc czy to rozkaz, czy prośba, uznała, że zaproszenie wyływało jedynie z uprzejmości.

- Dziękuję, ale po dzisiejszym dniu czuję się trochę zmęczona i chcę jak najszybciej pozmywać.

- Rozumiem - rzekł Marchand bez cienia urazy. Zdenerwował się jednak, gdy Clare wzięła tacę i chciała ją zanieść do salonu.

- Mogę sam się obsłużyć - mruknął gniewnie, odebrał tacę i wyszedł z kuchni.

Pokazała język. Pomyślała, że niektórym ludziom wprost trudno dogodzić. Była przekonana, że Marchandowi jest najzupełniej obojętne, czy ona dotrzymuje mu towarzystwa, czy też nie.

Dopiero kiedy znalazła się u siebie w pokoju, uderzyła ją myśl, że oboje są jednakowo osamotnieni. Ani razu podczas jej pobytu w tym domu nie było gości czy proszonego obiadu. Marchand najwidoczniej nie miał żadnych przyjaciół ani bliskich znajomych. Prawdopodobnie był to jego wolny wybór, chociaż możliwe też, że takie odsunięcie się od ludzi wynikało z jakiegoś urazu wyniesionego z pierwszego małżeństwa.

Następnego dnia sytuacja nagle się wyjaśniła. Marchand zapowiedział, że nie będzie go na obiedzie.

- Gdzie jest ojciec? - spytał Miles zdziwiony, że jedzą w kuchni.

- Nie wiem. - Clare wzruszyła ramionami.

- Nie pytała pani?

- Po co?

- Och! - wyrwało się chłopcu. - To na pewno ona.

- Jaka ona?

- Profesor Millar. - Miles skrzywił się. - Sympatia ojca. Wykłada historię, ale jest nudna jak flaki z olejem!

- Miles! - skarciła go Clare, chociaż nie była pewna, czy chłopiec miał na myśli historię, czy znajomą swego ojca.

- Przysięgam, że nudna - upierał się chłopiec. - Sama się pani przekona, gdy pani Millar nas odwiedzi.

Clare wcale nie była pewna, czy pała chęcią poznania sympatii swego chlebodawcy. Wolą nie przyznawać się nawet przed sobą, że słysząc tę informację, poczuła lekkie ukłucie w sercu. Powinna jednak rozumieć, że mężczyzna tak atrakcyjny, jak Fenwick Marchand, ma niejedną adoratorkę.

- Na pewno jest to bardzo miła kobieta - zauważyła.

- Czy oglądała pani „Sto jeden dalmatyńczyków”? - spytał Miles. - Moim zdaniem Cruella to przy niej anioł.

- Miles! - znowu skarciła go Clare.

Przemknęło jej przez myśl, że oboje są zazdrośni. Z tym, że syn miał prawo być zazdrosny o ojca, gdy tymczasem ona...

- Panią to nic nie obchodzi - mruknął Miles - bo ona nie będzie pani macochą... Jaka szkoda, że nie została w Ameryce.

Clare zrozumiała, że tylko pobyt pani profesor za granicą sprawił, iż nigdy dotąd o niej nie słyszała. Przez cały wieczór nie mogła myśleć o niczym innym. Położyła się spać później niż zwykle, lecz i tak nie doczekała się powrotu Marchanda.

Obudził ją jakiś hałas. Usiadła na łóżku i zaczęła nadsluchiwać. Zdziwiła się, że słyszy odgłos oddalającego się samochodu. Wobec tego nie mógł to być Marchand. Wskoczyła z łóżka i wyjrzała przez okno. Dojrzała jedynie tylne światła jakiegoś wozu.

Przed domem było pusto. Clare dobrze pamiętała, że Fenwick pojechał własnym autem. Toteż jedynym wyjaśnieniem, jakie przyszło jej do głowy, było to, że do domu zakradli się włamywacze. Przez chwilę stała niby rażona piorunem. Złodzieje wybrali się akurat wtedy, gdy gospodarza nie było w domu. W takiej sytuacji wiadomo, na kogo od razu padnie podejrzenie.

Zaczęła przemierzać pokój niecierpliwymi krokami. W pierwszej chwili chciała wezwać policję, lecz wystraszyła ją perspektywa nieuchronnego przesłuchania. Wolała więc sama sprawdzić, co się dzieje, mimo iż zdawała sobie sprawę, że ten pomysł nie jest najrozsądniejszy.

Narzuciła płaszcz na pidżamę i zeszła na dół. Najpierw zajrzała do pokoju Milesa; chłopiec spał jak zabity.

Następnie, rozglądając się na wszystkie strony, zeszła na parter i na palcach podeszła do drzwi wejściowych. Zamek nie nosił żadnych śladów

włamania. Zdziwiła się, że drzwi są zamknięte na zasuwę. To oznaczało, iż ktoś został w domu.

W tym momencie usłyszała za plecami:

- Czy pani się gdzieś wybiera?

W drzwiach do salonu stał Fenwick Marchand z kieliszkiem w ręku. Obejrzał Clare od stóp do głów i zauważył różową pidżamę wystającą spod płaszcza.

- Powinna się pani najpierw ubrać - rzucił głosem pełnym gryzącej ironii.

- A może, pani zdaniem, to jest najodpowiedniejszy strój na randkę?

- Na randkę? - powtórzyła Clare bezmyślnie.

- Och, możemy to nazwać spotkaniem albo schadzka.

Marchand roześmiał się nieprzyjemnie. Clare jeszcze nigdy nie widziała go w takim nastroju, więc przyjrzała mu się badawczo.

- Uważa pan, że wybieram się na jakieś spotkanie, tak?

- Przecież chyba nie idzie pani na zwykłą przechadzkę?

- Ja... Pan nic nie rozumie.

- Naprawdę? To niech mnie pani oświeci.

Clare uświadomiła sobie, że nie bardzo wie, jak się tłumaczyć. Marchand patrzył na nią ze złośliwym błyskiem w oczach. Po chwili odwrócił się i wszedł do pokoju. Clare zdawało się, że usłyszała ze złością rzucone słowa:

- A niech to wszyscy diabli!

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, podeszła do otwartych drzwi.

Marchand stał przy barku, z butelką w ręce.

- Dla szanownej pani też nalać? - spytał, nie odwracając się.

- Nie, dziękuję panu - odparła z niechęcią.

- A prawda, zapomniałem. Pani przecież nie pije. I nie pali. Co zatem pani robi?

- Nic - odparła krótko.

- Nic? - Ponownie obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów. - Nie jest pani w szczególnie uwodzicielskim stroju, ale jemu to pewnie nie przeszkadza.

- Niby komu to ma nie przeszkadzać? Jaki „on” wchodzi w grę? - Clare zaczynała tracić cierpliwość. - Mleczarz? Listonosz? A może gazeciarz? Bo to jedyni mężczyźni, jakich tutaj widuję.

- Taaak? - rzucił Marchand pogardliwie. - Ale na pewno było ich pełno w pani bogatej przeszłości...

W zielonych oczach Clare zapłonęły gniewne błyski. Zaciśnęła pięści i zrobiła krok do przodu. Podniosła rękę. Fenwick natychmiast ją schwycił.

- Jeden raz wystarczy mi najzupełniej...

Przyglądał się jej z ironicznym uśmiechem na ustach. Clare usiłowała wyszarpnąć rękę. Bezskutecznie. Fenwick przyciągnął ją do siebie. Zaczęła szamotać się i wrywać ze wszystkich sił.

- Jestem aż tak odpychający? - wycodził przez zaciśnięte zęby.

- Możliwe... Pewnie nawet i dla pańskiej sympatii - rzuciła Clare z pogardą w głosie.

Fenwick patrzył na nią spod półprzymkniętych powiek.

- Jakiej sympatii?

- Tej, z którą spędził pan wieczór. Ciekawe, dlaczego nie chciała tu wstąpić „na kawę”?

- Wyjaśnijmy sobie tę sprawę. Rozumiem, że według pani byłem na randce z osobą, która... która puściła mnie kantem. Czy tak się to określa w waszym środowisku?

Clare udała, że nie zauważyła złośliwości, ale odcięła się:

- Tylko niech się pan za to na mnie nie wyżywa!

Wiedziała od razu, że posunęła się za daleko. Marchand zmienił się na twarzy.

- Uważasz, że nie potrafię wzbudzić w kobiecie pożądania, tak? - Objął ją jeszcze mocniej. - Zaraz się o tym przekonamy.

Pochylił się i popatrzył jej głęboko w oczy. Clare szarpnęła się, lecz nie miała dość siły, aby wyrwać się z jego ramion. Z ramion mężczyzny, który jej wcale nie kochał. Zapewne nawet nie pożądał. Jego jedynym celem było sprawić jej ból i upokorzyć.

Z jej piersi wyrwał się krzyk rozpacz. Fenwick zamknął jej usta brutalnym pocałunkiem. Clare nadaremnie usiłowała odwrócić głowę. Po jej policzkach zaczęły spływać łzy.

Wreszcie Marchand jakby oprzytomniał i odsunął się. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że i jemu ów pocałunek nie sprawił przyjemności.

- Wygląda na to, że masz rację. - W jego głosie brzmiała pogarda dla samego siebie. - Pewnie umiem tylko sprawiać ból, a nie potrafię kochać. Może tak było zawsze...

- Ja... - zaczęła Clare, lecz natychmiast urwała. Podniosła wzrok i popatrzyła Marchandowi prosto w oczy.

Wyczytała w nich zaskakującą prawdę. Zrozumiała, że oboje kiedyś całym sercem zawierzyli miłości, lecz się gorzko zawiedli i teraz boją się głębszego uczucia.

- Przykro mi.

- Nie lituj się nade mną! - warknął Fenwick.

Wyciągnęła rękę. Zamierzał ją odtrącić, lecz wyczytał w oczach Clare nieklamane współczucie. Popatrzył na nią tak, że przestało jej bić serce. Po chwili wahania ujął wyciągniętą dłoń i zaczął całować ją bez pośpiechu. Jego usta powoli posuwały się od przegubu ku palcom. Tak delikatne pieszczoty poruszyły Clare bardziej niż poprzednie gwałtowne pocałunki. Poczowała rodzące się pożądanie.

Odsunęła się, lecz Marchand położył jej dłonie na swoich ramionach, przytulił ją i ustami musnął jej włosy. Tym razem obejmował ją lekko i nie narzucał się, ona zaś coraz bardziej poddawała się ogarniającemu ją uczuciu.

Nie słyszała głosu rozsądku nakazującego trzymać się z dala od tego mężczyzny.

Zapomniała, kim on jest i nie pamiętała, kim jest ona sama. Zapomniała o wszystkim. Pamiętała jedynie, że kiedyś miłość była tak piękna. Myślami przeniosła się w objęcia innego mężczyzny, czuła jego usta na swoich i jego ramiona oplatające ją w uścisku.

Była tak spragniona miłości, że cała poddawała się pieścizotom. Pocałunki Fenwicka wywołały dreszcz pożądania. Odwzajemniała je tak namiętnie, że sama była zaskoczona.

Marchand wziął ją na ręce. Clare otworzyła oczy i w tej chwili uświadomiła sobie, kim oboje są. Oto Fenwick Marchand, pracodawca. A oto ona, Clare Anderson, jego służąca. Dziewczyna bez zasad moralnych. Bez znaczenia. Po prostu nikt.

- Nie chcę! - krzyknęła i wyrwała się.

Fenwick zaklął pod nosem, lecz nie usiłował ponownie jej objąć. Uznał, że ona ma prawo decydować w tej sytuacji. Stali naprzeciw siebie, ciężko dysząc.

- Przepraszam - powiedziała Clare, czując się winna.

- Nie ma za co - rzucił Marchand niedbale. - Przecież to nie miłość, a tylko pożądanie.

- Tylko pożądanie - powtórzyła głucho.

Poczuła się upokorzona. Musiała jednak przyznać, że to rzeczywiście tylko pożądanie. Ten fakt jednak znacznie pogarszał sytuację.

- Życie jest pełne ironii - dodał Marchand. - Nie znamy się dobrze i nawet chyba niezbyt lubimy... a mimo to bardzo cię pragnę, bardzo...

- Ja...

Fenwick zaśmiał się gorzko.

- Idź już. Nie będę cię gonił. I tak jestem zanadto pijany...

Odwrócił się i sięgnął po butelkę. Clare pobiegła do siebie, żałując, że w ogóle zeszła na dół. Wolałaby nie wiedzieć, iż oboje tak bardzo siebie pragną. Przecież skazała się na życie bez miłości i chciała wytrwać w swym postanowieniu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego ranka Clare zeszła do kuchni z niepokojem, gdyż bała się spotkania z Marchandem. Na szczęście tylko Miles przyszedł na śniadanie. Najadł się, zabrał kanapki i pobiegł do lasu. Clare już sprzątała ze stołu, gdy usłyszała kroki Fenwicka.

- Przepraszam cię za moje wczorajsze zachowanie - powiedział bez żadnego wstępu.

Spojrzała na niego zdumiona i nic nie odpowiedziała. Nie miała ochoty wracać do wydarzeń z ubiegłego wieczora. Łudziła się, że będą udawać, iż nic się nie stało.

- Stanowczo za dużo wypilem w czasie przyjęcia na uczelni.

Clare drgnęła i poczuła się dotknięta, ponieważ zrozumiała, co Marchand chciał przez to powiedzieć...

- Obiecuję ci, że to się nie powtórzy.

- Mam nadzieję.

Popatrzyła mu prosto w oczy. Pragnęła dać do zrozumienia, że ona na pewno nie będzie się narzucać.

Fenwick dobrze odczytał jej wymowne spojrzenie.

- Nigdy nie byłaś bardziej wylewna?

Spoglądała na niego z głęboką ironią, zastanawiając się, czy oczekiwał od niej, że rozplynie się z zachwyty nad tym, iż zdobył się na przeprosiny.

- Niestety byłam - wycedziła. - Puśćmy wczorajszy incydent w niepamięć.

Marchand uniósł brwi, nieprzyjemnie zaskoczony.

- Nie wiedziałem, że tak łatwo można wyrzucić mnie z pamięci.

W jego głosie brzmiała nuta rozbawienia, lecz Clare nie zareagowała.

Pragnęła jedynie, aby ich wzajemne kontakty nadal były ściśle oficjalne.

- Chciałbym podkreślić, że wczoraj to było... to była... powiedzmy, że miałem chwilę słabości. Nie mam zamiaru zachowywać się...

- ...jak jaśnie panowie w książkach - dopowiedziała Clare ironicznym tonem. - Czytałam o tym. Niech pan sobie wyobrazi, że ja umiem czytać i co nieco wiem.

- Nigdy w to nie wątpiłem.

Zmrużyła oczy i popatrzyła na niego podejrzliwie, nie rozumiejąc jego zachowania. Marchand przyglądał się jej z takim natężeniem, że odwróciła wzrok.

- Co mam podać na śniadanie? - zapytała, żeby coś powiedzieć.

- Tylko kawę. Mocną... Wypiję ją w gabinecie.

- Dobrze - rzekła Clare, nie odwracając głowy.

Marchand zatrzymał się jeszcze przy drzwiach i polecił:

- Kiedy Miles wróci, proszę go do mnie przysłać.

Clare odetchnęła z ulgą. Nie spodziewała się przeprosin, lecz musiała przyznać, że doskonale rozwiązały sprawę.

Teraz należało o wszystkim zapomnieć, aby życie mogło się toczyć dawnym trybem.

W pewnym sensie wszystko rzeczywiście było tak jak dawniej.

Marchand jednak postanowił zrezygnować z dawania lekcji jazdy i dlatego zatrudnił zawodowego instruktora. Zastrzeżenia Clare zbył krótkim stwierdzeniem, że potrzebna mu gospodyni, która umie prowadzić samochód.

Clare nie miała wyboru i musiała się zgodzić. Nowy instruktor niewątpliwie był fachowcem w swojej dziedzinie, lecz mimo to każde porównanie z poprzednikiem wypadło na jego niekorzyść.

Posiłki, nadal we troje, przebiegały mniej więcej normalnie. Obecność Milesa ułatwiała zachowanie pozorów i prowadzenie zwykłej konwersacji.

Pozornie nic się nie działo, lecz jakiś nieopatrzny gest czy wyraz oczu dwojga dorosłych zdradzał, że oboje pamiętają ów wieczór. Clare zdawała sobie sprawę z tego, że dla własnego dobra powinna zapomnieć o uczuciu, jakie ją ogarnęło, gdy znalazła się w ramionach mężczyzny, z którym nadal mieszkała pod jednym dachem. Rozsądek podpowiadał jej, że powinna natychmiast odejść, że rozpamiętywanie pocałunków jest zdradliwe i niewskazane.

Czuła, że coraz trudniej zapanować jej nad sobą, a mimo to nie mogła się zdobyć, by zrezygnować z pracy.

Zasadniczy kłopot polegał na tym, że i nie chciała odejść, i nie miała dokąd. Woodside Hall był jej ostoją, a Fenwick traktował ją z pewnego rodzaju szacunkiem. Obawiała się, że trudno będzie znaleźć pracodawcę, który znając jej przeszłość, zgodziłby się na podobne zachowanie. Poza tym, mimo swych postanowień, przywiązała się do Milesa.

Cieszyła się, że nie jest już taki zgaszony i zamknięty w sobie. Chłopiec był teraz pełnym energii dzieckiem, które często szukało jej towarzystwa i otwierało przed nią serce.

Clare niekiedy zastanawiała się, jak na to zapatruje się jego ojciec. Marchand nigdy nic na ten temat nie mówił i nie usiłował zniechęcić syna do rozmów z nią. Widział, że oboje mają sobie dużo do powiedzenia, lecz ani razu tego nie skomentował. Natomiast zawsze miał nieodgadniony wyraz twarzy, gdy wchodząc, zastawał ich dwoje rozmawiających z ożywieniem lub roześmianych.

Ona też nigdy nie poruszała tego tematu. W rozmowach z chłopcem pilnowała się, by nie narzucać mu swoich poglądów. Słuchała go cierpliwie,

rozumiejąc, że każdy musi się przed kimś wywnętrzyć, lecz nigdy nie wygłaszała swoich opinii. Jeżeli tego wymagały okoliczności, radziła jedynie, jak daną sprawę należy omówić z ojcem.

Początek roku szkolnego zbliżał się nieuchronnie, więc Miles coraz częściej i gwałtowniej zarzekał się, że nie pójdzie do internatu.

- Nie pójdę za żadne skarby i ojciec nie może mnie do tego zmusić - oświadczył pewnego dnia.

- Dobrze wiesz, że może - wtrąciła Clare - więc ja na twoim miejscu porozmawiałabym z ojcem szczerze. Powinieneś mu wytłumaczyć, dlaczego nie chcesz iść do internatu... Bo nie chodzi ci o samą szkołę, tylko o internat, prawda?

W oczach chłopca pojawił się niepokój. Widocznie Clare dotknęła bolesnego miejsca.

- Nie boję się tego, że mam opuścić dom. Nic z tych rzeczy. Ale nie chcę być cały czas, od rana do wieczora, z bandą głupich angielskich uczniów.

Oświadczenie to zdumiało Clare. Ciekawa była, jak Miles widzi siebie. Najwidoczniej w jakiejś innej kategorii.

- Jak się czujesz w towarzystwie innych chłopców? - zapytała otwarcie.

Miles popatrzył spode łba i niechętnie wyznał:

- Nieźle. I jak chcę, to mam kolegów. Ale mi na tym specjalnie nie zależy, więc się nie wysilam.

Tymi słowami zdradził swe głębokie poczucie niepewności. Clare spojrzała na niego uważnie. Miles natychmiast odwrócił głowę, ale zdążyła dostrzec czający się w jego oczach strach przed osamotnieniem.

- Wolałbyś iść do zwykłej szkoły dziennej, prawda?

- Tak - przyznał bez wahania.

- Radzę ci porozmawiać o tym z ojcem.

- Po co? - zapytał Miles bez przekonania. - Przecież to i tak niczego nie zmieni.

- Nigdy nie wiadomo - Clare usiłowała go pocieszyć. - Myślę, że warto spróbować. Tylko pamiętaj, żebyś był bardzo grzeczny.

- Dziękuję za dobrą radę. Może spróbuję - rzekł, nadal bez przekonania. Wstał od stołu i wyszedł z kuchni.

Następnego dnia jedli śniadanie w milczeniu, które, ku zaskoczeniu obojga dorosłych, nagle przerwał Miles.

- Ojciec.

Po raz pierwszy zwrócił się tak oficjalnie. Na ogół mówił bardziej poufale. Fenwick Marchand odłożył gazetę i spojrzał na syna wyczekująco.

- Ojciec - powtórzył chłopiec. - Ostatnio ciągle myślę o szkole. Wydaje mi się, iż nie bardzo się nadaję do internatu, chociażby dlatego, że moja nauka przez ostatnie dwa lata była nieco... nieco chaotyczna.

Marchand w milczeniu przyglądał się synowi. Widać było wyraźnie, że niecodzienne zachowanie dziecka odebrało mu mowę. Miles najwidoczniej posłuchał rady Clare i przeciwiczył to, co chciał powiedzieć, a nawet się przy tym trochę zagalopował.

- Mów dalej.

- Myślałem... - Miles, speszony reakcją ojca, urwał i bezradnie popatrzył na Clare. Po chwili jednak dodał: - Pomyślałem, że byłoby lepiej, gdybym poszedł do jakiejś szkoły niedaleko domu.

- O! A czy jakąś sobie upatrzyłeś? Chłopiec przecząco pokręcił głową.

- Nie. Wybór szkoły pozostawiam tobie, tato. Na pewno nie będziesz musiał się o mnie martwić. Mogę jeździć rowerem, a jeżeli dostanę klucze, nikt przeze mnie nie będzie musiał siedzieć w domu. Przysięgam, że się postaram być prawie niewidoczny - dorzucił z emfazą.

Clare poczuła ukłucie w sercu, gdy zobaczyła rozpaczliwe błaganie w oczach dziecka. Wiedziała, że chłopiec broni się przed internatem, ale dotychczas nie zdawała sobie sprawy, że to dla niego niemalże tragedia.

Zerknęła na Marchanda, który miał nieodgadniony wyraz twarzy. Nie wiadomo było, czy rozumie, co się kryje za słowami syna. Czyżby miał zamiar bez zastanowienia odrzucić prośbę swego dziecka?

- Przykro mi, synu - zaczął Fenwick - ale nie jest to takie proste. Zdarza się, że muszę dłużej zostać w pracy, a ty jesteś jeszcze za mały, żeby siedzieć w domu bez opieki. Dla chłopca w twoim wieku nie jest to wskazane, a poza tym byłoby niezgodne z prawem.

- A pani Clare? - wtrącił zrozpaczony Miles. - Przecież zawsze jest w domu, więc mogłaby mnie przypilnować.

- Tak, teoretycznie... - Marchand przeniósł wzrok na Clare. Widział, że nie miałyby nic przeciwko takiemu rozwiązaniu, lecz mimo to wysunął kontrargument: - W praktyce jest trochę inaczej. Pani Clare zgodziła się prowadzić dom, a nie pilnować dzieci. Już i tak pracuje rano i wieczorem, więc trudno wymagać, żeby jeszcze po południu zajmowała się tobą.

- Przecież mną nikt nie musi się zajmować! - Chłopiec błagalnie spojrzał na Clare. - Trzeba mnie tylko wpuścić do domu. Potem już nie będę się ruszał z mojego pokoju.

- Ale to by i tak oznaczało, że pani Clare musi zawsze po południu być w domu - zauważył Fenwick.

- To nie problem, bo pani Clare i tak nigdzie nie chodzi. Prawda?

Oczyma błagał o potwierdzenie.

- Masz rację.

Clare istotnie spędzała wolny czas, siedząc u siebie w pokoju i czytając.

- Ty, tato, mógłbyś pani Clare trochę więcej zapłacić - argumentował Miles - a ja bym się jej wcale nie naprzykrzał.

Więc właściwie miałyby wolne popołudnia. Tobie też nie będę zawracał głowy, kiedy wrócisz do domu... a za to zaoszczędzisz majątek na szkole z internatem.

Clare patrzyła to na ojca, to na syna. Miała poważne wątpliwości co do tego, czy argumenty Milesa trafiły do jego ojca. Była przekonana, że kwestia pieniędzy na pewno nie wpłynie na zmianę jego decyzji. Być może z jakichś względów woli odesłać chłopca do szkoły położonej z dala od domu. Coś go jednak powstrzymywało przed podjęciem ostatecznej decyzji.

- Tatusiu, proszę - dodał Miles tonem, jaki mógłby poruszyć nawet serce z kamienia.

- Musisz dać mi czas do namysłu, synu - oświadczył Marchand po chwili milczenia.

Miles zrozumiał to jako odmowę i twarz mu się wykrzywiła. Popatrzył znacząco na Clare, rzucił: „Widzi pani!” i wybiegł z kuchni.

Fenwick zwrócił na Clare pytające spojrzenie.

- „Widzi pani!” - powtórzył niby echo. - Proszę mi powiedzieć, „co” pani widzi.

- Ja... hmm... Pan wybaczy, ale nie mam z tym nic wspólnego.

Wstała i zaczęła zbierać talerze.

- Siadaj! - krzyknął Marchand i Clare posłusznie usiadła, mrużąc pod nosem:

- Nie jestem psem, wie pan?

- Wiem - wycedził Fenwick - a ja nie jestem potworem, chociaż oboje mnie za takiego uważacie. No, słucham. Kto wymyślił tę dzienną szkołę?

- Jasne, że Miles - oznajmiła Clare. - Ja mu tylko doradziłam, żeby przedyskutował ten projekt z panem.

Oczy Marchanda pełne były niedowierzania.

- Naprawdę nic więcej nie zrobiłam - zapewniła go Clare. - Miles powiedział mi, że nie chce iść do szkoły z internatem, więc zaproponowałam, żeby panu przedstawił swoje argumenty.

- Dziwne... Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby mój syn posłuchał czyjejs rady - przyznał Marchand dość niechętnie.

- Masz na niego duży wpływ.

Clare zrobiło się przykro, gdyż zrozumiała, że jego zdaniem jest to zły wpływ.

- Ja tylko słucham tego, co on do mnie mówi - rzekła spokojnie.

Marchand natychmiast wychwycił nutę krytyki w jej głosie.

- Inaczej niż ja, tak? - I dodał, ku zaskoczeniu Clare:

- Może masz rację, ale on mi wcale tego nie ułatwia... Dlaczego tak się broni przed internatem?

W milczeniu patrzyła mu prosto w oczy.

- Jeżeli wiesz, o co mu chodzi, powiedz mi otwarcie - nalegał Fenwick.

Przez chwilę się wahała, po czym wybuchnęła:

- Dobrze. Bo jest przerażony!

- Przerażony? Czego on się może bać?! - rzucił gniewnie.

Clare uświadomiła sobie, że mówiąc to, popełniła nietakt, więc poderwała się od stołu.

- Właściwie nie wiem... Muszę już sprzątnąć.

Marchand też wstał, wyrwał jej talerze z rąk i rzucił do zlewozmywaka. Nie drgnął, słysząc brzęk tłuczonego szkła. Trzymał ramię Clare w żelaznym uścisku i zmusił ją, by spojrzała mu prosto w oczy.

- Moja droga, za dużo już powiedziałaś... i nie możesz odgrywać roli idealnej służącej, kiedy ci tak wygodniej. Nie masz się czego bać.

- Bać się?

- Że cię wyrzucę.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Marchand był na pozór opanowany, lecz przecież wiedziała, w jaką wściekłość potrafi wpaść.

- No więc? Czego mój syn tak się boi? - Fenwick wrócił do pytania, które pozostawało bez odpowiedzi.

- Tego, że będzie wyobcowany - wyznała.

- Wyobcowany? - Twarz Marchanda była nieprzeniknioną maską. - Mów dalej.

Clare czuła, że tak czy owak zabrnęła już za daleko, więc postanowiła powiedzieć wszystko.

- Miles nie bardzo wie, kim jest ani kim chciałby być. Najpierw przez siedem lat mieszkał z panem i prawdopodobnie miał zachowywać się prawie jak osoba dorosła. Potem zamieszkał z dziadkiem, który mógł mu kupić wszystko, ale nie miał dla niego ani trochę czasu. Wreszcie zabrała go matka i, sądząc z tego, co sam mi mówił, pozwalała mu robić, co chce. Byle tylko nie wchodził jej w drogę.

Clare spojrzała na Marchanda i śmiało mówiła dalej.

- Teraz znowu jest razem z panem. Czuje, że powinien zachowywać się jak idealnie wychowane angielskie dziecko... Ale on nie jest ideałem. Miał za bardzo powikłane życie... I podświadomie czuje, że nie będzie pasował do ekskluzywnej szkoły z internatem. Dziecko samo o tym wie, a panu to nie przyszło do głowy! - podsumowała dość obcesowo.

Po tych słowach z niepokojem wpatrzyła się w twarz Fenwicka. Spodziewała się gwałtownej reakcji, gdyż na dobrą sprawę powiedziała mu, że jest kiepskim ojcem.

Marchand przez chwilę zachował kamienne oblicze. Potem, przez moment, w jego oczach pojawił się prawdziwy ból. Przymknął powieki, Clare zaś pożałowała, że wypowiedziała się tak otwarcie.

- Przepraszam. Niepotrzebnie tyle mówiłam...

Wyciągnęła rękę. Fenwick odsunął się; duma nie pozwoliła mu przyjąć współczucia.

- Nie ma za co przepraszać, bo sam prosiłem o powiedzenie mi całej prawdy. Jeżeli twoja opinia mi się nie spodobała, to już mój kłopot.

Clare zrobiła wielkie oczy. Ten mężczyzna zdumiewał ją coraz bardziej. Sądziła, że jest zimny i nieczuły, i niewiele się pomyliła. Poza tym jednak był uczciwy i prostolinijny, a takie cechy musiały wzbudzać jej podziw.

- Rozumiem, że według ciebie zwykła szkoła byłaby najlepszym rozwiązaniem - rzekł poważnie, jakby naprawdę zasięgał jej rady.

- Idealnym. I tak nie obędzie się bez problemów ze znalezieniem przyjaciół, ale przynajmniej po lekcjach wróci do domu i będzie mógł się ze wszystkiego zwierzyć. Musi mieć z kim o tym porozmawiać.

- Hmm. Początkowo chciałem go codziennie wozić do doskonałej szkoły w Oksfordzie - przyznał Fenwick. - Musiałem jednak zmienić zdanie, gdy się okazało, że żadna gosposia nie może tu wytrzymać. W takiej sytuacji szkoła z internatem wydawała się jedynym wyjściem. Może jeszcze uda mi się znaleźć miejsce w tej szkole, którą pierwotnie wybrałem. Ale wszystko właściwie zależy od ciebie... Czy zgodzisz się dopilnować go po lekcjach, gdy mnie nie będzie w domu?

Clare sądziła, że się przesłyszała. Nie wierzyła, by Fenwick mówił poważnie.

- Ja... Mnie... Jeżeli pan sobie tego życzy... Marchand błędnie zrozumiał jej wahanie.

- Przepraszam, nie powinienem był w ogóle o tym wspominać. I tak masz dosyć obowiązków. Pomyślę o jakimś innym rozwiązaniu.

Odwrócił się i zamierzał odejść, lecz Clare go zatrzymała.

- Pan mnie źle zrozumiał... - zaczęła i urwała. - Chętnie się Milesem zaopiekuję. Po prostu bardzo mnie to zaskoczyło... to, że chce mi pan powierzyć opiekę nad swoim synem.

- Dlaczego? Widzę przecież, iż nikt go tak nie rozumie, jak ty. Nawet ja sam - przyznał otwarcie, z grymasem na twarzy.

- No, bo myślałam... że z moją przeszłością...

- Nie będę mieć do ciebie zaufania, tak? - zapytał, a Clare skinęła głową. - Przecież ufam ci już od dwóch miesięcy. Podejrzewam, że gdybyś chciała zniknąć razem z moimi srebrami rodzinnymi, zrobiłabyś to już dawno.

- Dziękuję - rzuciła Clare, niezbyt zadowolona tak wyrażonym wotum zaufania.

- Poza tym moja siostra zaręczyła za ciebie i obiecała, że odkupi wszystko, co zginie - dodał Marchand oschle.

Clare oblała się rumieńcem. Podczas rozmowy o Milesie miała wrażenie, że jest traktowana jak równorzędny partner. Teraz zdała sobie sprawę, iż tak nie jest.

- Moja siostra oczywiście jest głęboko przekonana o twojej niewinności - dorzucił Fenwick sceptycznym tonem.

Clare pominęła tę uwagę milczeniem. Rada była, że przynajmniej jedna osoba w nią uwierzyła.

- Jaka jest prawda? - Fenwick patrzył jej w oczy z wielkim napięciem. - Byłaś niewinna?

- Niezupełnie - wyznała.

Marchand był wyraźnie zaskoczony jej odpowiedzią. Po chwili uśmiechnął się.

- No, przyznaję, że to stosunkowo uczciwa odpowiedź. A mojej siostrze pewnie powiedziałaś tylko to, co ona sama chciała usłyszeć.

Clare przecząco pokręciła głową.

- Louise nigdy mnie nie pytała, dlaczego siedziałam.

- Jakie to do niej podobne... Teraz wszystko rozumiem. Jej się wydaje, że osoba, którą ona lubi, nie może zrobić nic złego.

- Czy to takie głupie? - Clare stanęła w obronie Louise.

- Wcale nie. Ale mało realistyczne. - Marchand nadal bacznie ją obserwował, jakby z jej oczu chciał wyczytać całą prawdę. Po chwili dodał w

zamyśleniu: - Podejrzewam, że większość z nas zdolna jest do wszystkiego. W specyficznych okolicznościach.

Clare w duchu przyznała mu rację. Wiedziała z własnego doświadczenia, że tak właśnie może się zdarzyć. Nie chciała jednak wyznać wszystkiego. Uniosła głowę nieco wyżej i nie spuściła oczu. Postanowiła, że nie zdradzi swego sekretu.

- Obiecuję, iż pana nie okradnę.

Nie sądziła, że Fenwick jej uwierzy, ale tylko tyle postanowiła mu powiedzieć.

- W porządku... Wobec tego możemy wrócić do podstawowego zagadnienia, czyli problemu z Milesem. Czy przypilnujesz go w czasie mojej nieobecności?

Zdaniem Clare chłopcu nie było potrzebne żadne pilnowanie. Wystarczyło dać mu coś do zjedzenia i wysłuchać relacji o tym, jak mu minął dzień.

- Tak - odparła krótko.

- Dobrze. Oczywiście zapłacę ci za to. Muszę tylko obliczyć, ile to będzie.

Clare niedbale wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru spierać się o pieniądze. Dla Marchanda takie rozwiązanie na pewno było zręczniejsze. Zapewne jeszcze nie zauważył, że jego syn i tak Ignie do niej i zabiera jej czas. Od tej zaś chwili będzie jej za to samo płacił.

- Wolałbym, żeby Miles na razie nic nie wiedział. Chcę najpierw załatwić dla niego szkołę.

- Czy będą z tym jakieś trudności? - zainteresowała się Clare. - Lekcje zaczynają się już za dwa tygodnie.

- Nie umiem powiedzieć - wyznał Marchand. - Znam wprawdzie jedną osobę z zarządu, która wykłada u nas na wydziale historii. To ona poleciła mi tę szkołę. Zaraz do niej zadzwonię.

Wstał i otworzył drzwi, ale odwrócił się jeszcze i dodał:

- Jestem ci winien podziękowanie za dobrą radę.

- Najpierw poczekajmy. Nie wiadomo, czy okaże się dobra. Trudno powiedzieć, co dla Milesa może być najlepsze.

Marchand uśmiechnął się krzywo.

- Muszę ci przyznać rację.

Przez kilka dni nie wracali do tematu szkoły. W środę przed południem Fenwick zajrzał do kuchni i oznajmił:

- Dzisiaj mam spotkanie z dyrektorem szkoły. Czy będziesz mogła po południu zająć się Milesem?

- Oczywiście - zgodziła się bez wahania.

- Ale to nie takie proste. Obiecałem mu, iż pojeździmy konno, więc...

- Wiem. On tak się cieszy, że wczoraj nie mówił o niczym innym.

- Pewnie będzie mieć żal do mnie, jeśli nic z tego nie wyjdzie - zmartwił się Marchand.

Clare umiała czytać między wierszami.

- Przecież ja mogę z nim jechać - zaproponowała oczywiste rozwiązanie.

- Ty? Ty z nim pojedziesz?

Clare skinęła głową, nie pojmując, co w tym tak zaskakującego.

- Wiesz, Clare, to bardzo wspaniałomyślne z twojej strony - Fenwick starannie dobierał słowa - ...ale chyba niemożliwe. Bo nie chodzi tylko o to, żeby go tam zawieźć. Trzeba go przypilnować w czasie jazdy.

Clare wzruszyła ramionami.

- To też mogę zrobić.

- Ale... - Fenwick miał wrażenie, że ona nie rozumie, o co chodzi. -

Trzeba jechać obok niego.

- Przecież umiem jeździć konno - sucho oznajmiła Clare. - W przeciwnym razie nie proponowałabym swojej pomocy.

- A prawda, zapomniałem. - Marchand popatrzył na nią znad okularów. - Gdzie się nauczyłaś?

- Na pewno nie w więzieniu... Jako dziecko czasami miałam dostęp do koni.

- No, to chyba dobrze jeździsz.

- Jakoś sobie radzę.

- Bardzo ci jestem wdzięczny. Stadnina jest daleko od nas, więc musicie pojechać taksówką.

- Dobrze.

- Mam nadzieję, że Miles nie będzie marudzić. Chłopiec oczywiście wyraził swoje niezadowolenie.

- Ojcu nie chciało się jechać, co?

- To nie kwestia tego, czy mu się chciało, czy nie. Po prostu musiał pojechać załatwić jakąś ważną sprawę.

- Pewnie... - Miles zerknął na Clare z niedowierzaniem.

- Tak pani powiedział? A zauważyła pani ten czerwony samochód, który odjechał przed nami?

Clare skinęła głową.

- To profesor Millar - oświadczył Miles.

- I co z tego? Kim on jest?

- Nie on, tylko ona. - Chłopiec zrobił zabawną minę.

- Już pani o niej mówiłem.

- Aha, przypominam sobie.

Dopiero po chwili Clare skojarzyła, że sympatia ojca, której Miles tak nie lubił, i profesor Millar z zarządu szkoły to ta sama osoba. Prawdopodobnie właśnie ona miała poprzeć sprawę przyjęcia chłopca do szkoły.

- Widocznie ta sprawa i jej dotyczy - dodała.

- Jaka tam sprawa! - Pogardliwie wyduł usta. - Może powinienem panią trochę oświecić, bo możliwe, że i panią będzie rozstawiać po kątach. Jeżeli oczywiście uda się jej doprowadzić ojca do ołtarza.

Clare, przygnębiona tą wiadomością, milczała.

- Ja wcale nie zmyślam - dorzucił Miles. - Ostatnio do nas nie przyjeżdżała, bo prowadziła jakieś badania w Harvardzie, w Ameryce. Też sobie wymyśliła wakacje! - Skrzywił się z niesmakiem. - Ona na pewno nie przypadnie pani do gustu. Nikt jej nie lubi.

- Miles! - skarciła go Clare. - Posuwasz się chyba trochę za daleko. Może ona się podoba twojemu ojcu?

- Możliwe. Ale ciocia jej nie lubi. Słyszałem, jak to mówiła.

- Miles! Nie powinienes podsluchiwać.

- Dobrze, dobrze. Zobaczymy, czy pani się nią zachwyci, gdy zacznie pani robić uwagi. Bardzo jestem ciekaw.

Clare czuła rosnący niepokój. Nigdy nie zastanawiała się, jak by się czuła pod rządami pani domu. Sama myśl, że ktoś może nią rządzić, była nienawistna. Musiała przyznać, iż Fenwick Marchand był idealnym pracodawcą. Nigdy nie miał zastrzeżeń do posiłków, nigdy nie krytykował sprzątanania. Nie komentował wydatków i nie rozliczał Clare z pieniędzy, które jej dawał. Wystarczały mu rachunki ze sklepów. Prawdę powiedziawszy, nie traktował swej gospodyni jak służącej i dlatego cała sytuacja była dla niej zupełnie znośna.

Wiadomo jednak, że nowa pani domu zechce rządzić po swojemu. Clare nie była pewna, czy zdobędzie się na to, by przyjmować rozkazy od kobiety.

W dzieciństwie obserwowała, jak Holsteadowie traktowali jej matkę. Przy gościach lady Abbotsford chwaliła Mary Anderson pod niebiosa, lecz w kuchni traktowała ją jak niewolnicę. Matka to wszystko znosiła, ponieważ musiała utrzymać siebie i dziecko. Natomiast Clare nie miała wobec nikogo żadnych zobowiązań. Wprawdzie zdrowy rozsądek nakazywał starać się o utrzymanie obecnej pracy, lecz jej duma też czasami dochodziła do głosu.

Miles zorientował się, że zrobił Clare przykrość, więc starał się załagodzić całą sprawę.

- Niech się pani nie martwi. Nie będzie tak źle. Ona pani nie wyrzuci, bo nie umie gotować, a poza tym nie będzie się zniżać do sprzątanía. Pani nadal będzie nam potrzebna.

Clare uśmiechnęła się z przymusem. Wiedziała, że ktoś będzie Marchandom potrzebny, lecz to wcale nie musi być ona. Dla niej było to zupełnie jasne.

- Ja jej nie pozwolę, żeby panią zwolniła - oświadczył Miles z zaciętym wyrazem twarzy.

Wzruszył ją swą lojalnością, więc uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

- Po co martwić się na zapas... Lepiej porozmawiajmy o dniu dzisiejszym. Jak myślisz, jakie dadzą nam konie?

- Beznadziejne. - Miles westchnął. - Dla uczniów zawsze mają jakieś stare szkapy.

- Może i tak - zgodziła się Clare. - Co jednak nie przeszkadza, że sama jazda zawsze jest dużą przyjemnością. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio jeździłam.

- Niech się pani nie martwi. Ja wszystko pani pokażę i wytłumaczę.

- Dziękuję ci - powiedziała Clare i odwróciła głowę, aby Miles nie zauważył jej rozbawienia.

Holsteadowie zawsze mieli doskonałe konie i Clare udało się, nawet kilka razy, uzyskać pozwolenie na dosiadanie świetnych wierzchowców przeznaczonych na sprzedaż. W młodości jeździła bardzo dobrze, więc teraz miała nadzieję, że natychmiast wszystko sobie przypomni i się nie skompromituje.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Miles wyrwał Clare z zamyślenia, mówiąc:

- Jesteśmy na miejscu.

Stadnina znajdowała się na skraju lasu, który należał do parku narodowego. Wszystkie trasy dla koni były bardzo wyraźnie oznakowane. Pogoda była piękna, słoneczna i zanosilo się na to, że cały dzień będzie bezchmurny.

Od razu weszli do biura, żeby jak najszybciej załatwić wstępne formalności. Stamtąd zaprowadzono ich do stajni.

Instruktor uznał, że nie ma do czynienia z nowicjuszami i wobec tego wybrał dwa dobre wierzchowce. Ponadto pozwolił Clare i Milesowi jeździć bez nadzoru.

Ścieżki miejscami wiodły przez taką gęstwinę, że trzeba było prowadzić konie za uzdę, lecz chwilami możliwa była jazda klusem. Clare zaczęła czuć się w swoim żywiole. Dawno zapomniane chwile, gdy jeździła na koniach Holsteadów, żywo stawały jej przed oczyma.

Po kilku godzinach jazdy, zgrzani lecz szczęśliwi, poczuli głód. Wobec tego zawrócili z trasy, chcąc się posilić w kawiarni niedaleko stajni. Tam zastał ich Marchand, który obiecał, że przyjedzie po nich około pierwszej trzydzieści. Clare nie wspomniała Milesowi, iż ojciec ma przyjechać, więc zaskoczenie chłopca było ogromne.

Twarz mu się rozpromieniła i roześmiał się uszczęśliwiony.

- Tato, jak cudownie, że przyjechałeś. Jeszcze zdążysz pojeździć razem z nami.

- W tym stroju? Chyba żartujesz.

Ojciec uśmiechnął się i popatrzył na swe spodnie od garnituru i białą koszulę. Marynarkę i krawat zdjął już wcześniej, lecz i tak nie był ubrany stosownie do konnej jazdy.

- Przyznaję, że może będziesz wyglądał śmiesznie - rzekł Miles - ale to nikomu nie przeszkodzi. Prawda? - zwrócił się do Clare.

- Ani trochę - odparła, lecz w jej oczach błysnęły iskierki rozbawienia.

- To ładnie, że tak uważacie. Dziękuję.

- No, to załatwione! - Miles poderwał się z miejsca. - Tato, czy ja mogę wybrać konia dla ciebie?

- Oj, nie. Wolę to zrobić sam. Mógłbyś wybrać kucyka i co wtedy?

Clare oczyma wyobraźni ujrzała go na kucyku. Mężczyzna wzrostu prawie dwóch metrów i mały kucyk! Wydawało się jej, że i na dużym koniu Fenwick będzie wyglądał nieco dziwnie, ale jej obawy okazały się bezpodstawne. Ojciec Milesa przyprowadził olbrzymiego, czarnego ogiera, który rwał się do biegu. Marchand z łatwością wskoczył na konia i usiadł w siodle wyprostowany. Podwinął sobie rękawy koszuli, kapelusz zsunął na tył głowy i wyglądał lepiej, niż Clare przypuszczała.

Miles ruszył jako pierwszy, Clare zaś jechała na końcu. Zauważyła, że koń Marchanda zaczął brykać.

Upłynęło kilka dobrych chwil, zanim jeździec zdołał okiełznać swego wierzchowca. Zaraz potem obejrzał się i dostrzegł zwątpienie malujące się na twarzy Clare.

- Nie ma obaw, na pewno nie spadnę. Wprawdzie nie mógłbym startować w żadnym wyścigu - dorzucił z uśmiechem - ale przez dwie, trzy godziny zdołam się utrzymać w siodle.

- Świetnie pan sobie radzi - powiedziała Clare dla dodania mu otuchy.

- Nieprawda - zaprzeczył Fenwick. - Sto lat nie siedziałem na koniu, i to od razu widać.

Sto lat! Clare tego ranka pomyślała to samo o sobie. Ciekawa była, kiedy Marchand naprawdę ostatni raz jeździł. Tak dawno, jak ona, czy też jeszcze wcześniej? Uświadomiła sobie, że i w jego życiu były okresy, które bezpowrotnie minęły. Może i on nie chciał do nich wracać. Chętnie zapytałaby, czy on, tak jak ona, jeździł już w dzieciństwie.

- Mój ojciec namiętnie jeździł na polowania, więc miał konie - rzekł Marchand, jakby odczytał jej myśli. - Wymagał, żebym się nauczył jeździć, chociaż polowanie wcale mnie nie pociągało. Nigdy nie mogłem zaakceptować tego, że mam ścigać bezbronne zwierzę tylko po to, by je rozszarpała sfora psów.

- Brawo! Popieram! - krzyknęła Clare, która przez całe życie była przeciwniczką polowań.

Fenwick przechylił głowę na bok i mruknął:

- Panno Anderson, bardzo mi miło, że przynajmniej pod tym względem zyskałem pani aprobatę.

Clare zarumieniła się i natychmiast zmieniła temat.

- Wie pan, Miles jeździ zupełnie nieźle.

- Owszem - przyznał Fenwick. - Nawet kiedyś już myślałem o tym, żeby kupić mu konia. Może teraz się zdecyduje, skoro jednak nie idzie do internatu.

- Załatwił pan miejsce w tej szkole? Marchand skinął głową.

- Tak, ale wymagało to ode mnie sporej dozy pokory. Dyrektor jest przekonany, że to dla mnie wielki zaszczyt. Łaskawie zgodził się przyjąć moje dziecko do szkoły i jakby nie pamiętał, że za to wyróżnienie będę słono płacić.

- Czy pomogła w tym pani Millar? - nieopatrznie wyrwało się Clare.

Marchand zerknął na nią z ukosa i uniósł brwi.

- Tak. Poparła moją prośbę. Czy Miles coś o niej mówił?

- Niewiele. Ale coś kiedyś wspomniał.

- To do niego podobne - mruknął Fenwick.

Widać było wyraźnie, że nie chce więcej na ten temat mówić. Clare była ciekawa, jakie miejsce profesor Millar zajmuje w jego życiu. Wiedziała jednak, że na razie niczego się nie dowie. Na tym rozmowa się urwała. Oboje popędzili konie i dogonili Milesa.

Kiedy zatrzymali się, Fenwick zapytał, uśmiechając się pod nosem:

- No i co? Jakim jestem jeźdźcem?

- Niezłym - pochwaliła go Clare. Po chwili ośmieliła się zauważyć: - Ale widać, że przydałoby się panu trochę więcej praktyki.

Marchand roześmiał się beztrąsko.

- Nigdy nie miałem wielkiego talentu w tej dziedzinie. Za to ty wyglądasz imponująco.

Clare uznała, że to prawdziwy komplement, więc szczerze podziękowała.

- Czy brałaś udział w jakichś zawodach?

- Nie. Nigdy nie miałam własnego wierzchowca.

- A prawda. Przecież tylko pracowałaś w jakiejś stadninie... Do kogo ona należała?

- Do... Nie pamiętam.

- A może po prostu nie chcesz powiedzieć? - domyślił się Marchand.

- Możliwe. - Clare wzruszyła ramionami. - To było już tak dawno temu.

- Masz rację - przyznał i zmienił temat.

Była mu za to wdzięczna. Teoretycznie rzecz biorąc, było zupełnie uzasadnione, że Fenwick chce wiedzieć o niej więcej. Powierzył jej przecież swojego syna. Mimo to uznawał jej prawo do tego, by mówiła o sobie tylko tyle, ile sama zechce. Możliwe jednak, że jego postępowanie wynikało po prostu z braku zainteresowania. Trudno byłoby się temu dziwić.

Pracodawcy na ogół wcale nie są ciekawi spraw swoich pomocy domowych, a Clare nie zapominała, że jest tylko służącą. Matka stale jej przykazywała: „Pamiętaj, bądź zawsze na swoim miejscu”.

W czasie wspólnej jazdy Fenwick Marchand swobodnie rozmawiał i często się śmiał. Jego doskonały nastrój udzielił się Clare, więc zapomniała o dzielącej ich pozycji. Czowała się tak, jakby byli równorzędnymi partnerami. Mężczyzna, obok którego teraz jechała, w niczym nie przypominał człowieka, którego poznała przed dwoma miesiącami. Zaczynała go lubić, i to stanowczo za bardzo...

Kiedy wrócili do stadniny, Marchand pierwszy zeskoczył z konia i wyciągnął rękę do Clare. Ujął ją wpół i pomógł zsiąść. Obejmując ją w talii, przyjrzał się jej uważnie.

- Opaliłaś się - rzekł cicho.

- Ja...

Clare czuła, że ma rozpalone policzki i była pewna, iż wygląda okropnie. Zrobiła krok do tyłu i się skrzywiła, bo przeszył ją ból w plecach. Nie uszło to uwagi jej towarzysza.

- Boli cię coś?

- Wszystko. Ale to nic dziwnego, po tak długiej przerwie.

- Dobrze ci zrobi gorąca kąpiel.

Spojrzenie Marchanda nie było chłodne, jak zazwyczaj. Wręcz przeciwnie. Clare spuściła wzrok.

- Miles czeka na pomoc - szepnęła.

Fenwick uśmiechnął się lekko, jeszcze raz obrzucił całą postać Clare ciepłym spojrzeniem i poszedł pomóc synowi.

Ona zaś pomyślała zdumiona, że pan profesor zaczyna z nią flirtować. Natychmiast jednak tę myśl odrzuciła, gdyż coś takiego wydało się jej zupełnie nieprawdopodobne.

Wracali do domu w świetnych nastrojach. Marchand dopiero w samochodzie powiedział synowi o tym, że zapisał go do szkoły w Oksfordzie. Miles był zachwycony i natychmiast gorąco podziękował Clare, wychodząc z założenia, że stało się to tylko dzięki jej interwencji.

- Mnie nie masz za co dziękować - zauważyła Clare. - Ja w tej sprawie nic bym nie mogła zrobić.

Miles popatrzył na ojca.

- Dziękuję ci, tatusiu.

- Ja też niewiele zdziałalem - wyznał Marchand. - Jeśli komukolwiek należą się podziękowania, to przede wszystkim pani Millar. Ona, jako członek zarządu, wpłynęła na decyzję pana dyrektora.

- Och! - W głosie chłopca zabrzmiało rozczarowanie.

- Mam nadzieję, że nie zapomnisz jej podziękować - dodał ojciec. - Zaprosiłem ją na dzisiejszy obiad.

- Ma przyjść już dzisiaj? - zdziwił się Miles.

Clare była równie zaskoczona. Odmalowało się to na jej twarzy.

- Przepraszam - zwrócił się do niej Marchand. - Powinienem był uprzedzić o tym wcześniej. Jeżeli nie zdążysz przygotować obiadu, pojedziemy do restauracji.

- Och, jakoś sobie poradzę - zapewniła go Clare, nie będąc jednak pewna, czy ten naprędce przygotowywany obiad się uda.

Kręcąc się po kuchni myślała o tym, jakim typem kobiety jest Rosalind Millar. Z tego, co mówił Miles wynikało, że jest dość antypatyczna. Dziwne, że Marchand miał zamiar ożenić się z osobą, której jego syn tak nie lubił. Jego drugie małżeństwo mogłoby być równie nieudane jak pierwsze, tyle że z innych względów.

Pani profesor okazała się przystojną i elegancką kobietą. Świetnie skrojona zielona suknia podkreślała jej zgrabną figurę. Pięknie ułożone czarne włosy okalały inteligentną i niewątpliwie pociągającą twarz. Delikatny makijaż i skromna, gustowna biżuteria dodawały całej postaci uroku kobiecości. Rosalind Millar wyglądała na kogoś, kim była. Nie ulegało wątpliwości, iż jest samodzielna i niezależna i że zrobiła karierę. To niemało jak na kobietę trzydziestoparoletnią.

Clare od pierwszej chwili poczuła do niej antypatię. Być może zraziła ją pewność siebie gościa. Bardziej jednak prawdopodobne, że to Miles ją uprzedził do pani profesor. Zjeżyła się od razu, gdy weszła, niosąc przekąski, i usłyszała:

- To na pewno jest Clare. Prawda? - Rosalind nieznacznie się uśmiechnęła. - O, wędzony łosoś... Sądząc po kolorze, pochodzi ze Szkocji.

- Nie. Z Norwegii - skłamała Clare na poczekaniu.

- Naprawdę? - Pani Millar uniosła cienkie, wyskubane brwi. - Niektórzy twierdzą, że norweskie łososie są bardzo smaczne. I najlepsze ze szparagami. Przepyszne!

Clare odebrała te słowa jako krytykę. Zrozumiała, że nie wie, jakie łososie kupować i z czym podawać.

- Miles, dlaczego nic nie jesz? - zapytała Rosalind z chłodną uprzejmością.

- Nie lubię łososia - mruknął chłopiec.

- Chyba nigdy nie próbowałeś. Na pewno by ci smakował - dorzuciła pani profesor z lekkim uśmiechem.

- Albo bym zwymiotował!

- Miles! - Ojciec przeszył go wzrokiem. Dodał jednak, jakby na usprawiedliwienie syna: - Obawiam się, że Miles zawsze jadł tylko to, co chciał.

- No tak, biedactwo - westchnęła pani Millar i popatrzyła na chłopca ze współczuciem. Wiedziała, jak był traktowany przez dziadka i matkę.

Clare zastanawiała się, czy Miles wytrwa spokojnie do końca obiadu. Widać było wyraźnie, że coraz bardziej pogrąża się w upartym milczeniu. Gość przestał zwracać na niego uwagę i zaczął opowiadać o swym pobycie na uniwersytecie harwardzkim.

Trzeba było przyznać, że umie mówić interesująco. Uwagi na temat różnic między uczelniami amerykańskimi i angielskimi były bardzo ciekawe. Fenwick słuchał z wielkim zainteresowaniem i nie ulegało wątpliwości, że jego zdaniem Rosalind Millar jest bardzo inteligentną osobą.

Clare przekonała się, że jest też lekko złośliwa. Na widok głównego dania w pierwszej chwili się rozpromieniła.

- O, szaszłyk... pachnie cudownie - zawołała z zachwytem, po czym natychmiast dorzuciła, zwracając się do Marchanda: - Takie mięso jest teraz wprost zakazanym owocem. Tyle się ostatnio mówi o zdrowym i racjonalnym odżywianiu, że ja przerzuciłam się na ryby i kurczaki... Ale chyba od jednej porcji wieprzowiny nie dostanę zaraz sklerozy - roześmiała się i spojrzała na Clare.

Młodsza kobieta nie odwzajemniła uśmiechu. Została nagle zaskoczona wiadomością o proszonym obiedzie, więc przez dwie godziny musiała uwijać się w kuchni, żeby wszystko przygotować. Nie była więc w nastroju, by z humorem wysłuchiwać uwag o tym, że to, co ugotowała, przyczyni się do wystąpienia poważnych schorzeń u biesiadników.

Marchand zauważył buntowniczy wyraz jej twarzy, więc czym prędzej wtrącił:

- Ja o żadną sklerozę się nie martwię. Clare jest doskonałą kucharką i to, co podaje, doskonale nam służy.

- Nie wątpię. - Rosalind uśmiechnęła się z wyższością. - Muszę się przyznać, że ja w ogóle nie mam talentu do gotowania. A gdzie pani się nauczyła tej sztuki? W szkole gastronomicznej?

- Nie - krótko odparła Clare. Nie miała najmniejszej ochoty wyznać, że na prośbę matki pomagała kucharce Holsteadów i dzięki niej tyle umie.

Rosalind Millar zreflektowała się.

- Och, przepraszam. Powinna była pamiętać. Czy to było... uczyli was tam... ?

Clare nie odpowiedziała. Czuła żal do Fenwicka za to, iż opowiadał swym znajomym o jej przeszłości, mimo że nie mogła oczekiwać, by zataił coś przed swą sympatią.

- Czy uczono was tego w więzieniu? - uparcie dążyła pani profesor.

- Nie. Ja tam pracowałam w bibliotece - z naciskiem powiedziała Clare.

- Doprawdy? To interesujące. - Rosalind udała zaniepokojenie. - Czy zajmowała się pani sprowadzaniem nowych książek?

- Biblioteka była nieźle zaopatrzona, więc nie było to konieczne - odparła Clare. - Ale gdy były jakieś dodatkowe fundusze, kupowałyśmy coś nowego. Zgodnie z zapotrzebowaniem.

- Rozumiem. - Pani Millar znów uśmiechnęła się z wyższością. - Podejrzewam, że głównie były to romanse.

- Owszem - przyznała Clare i dodała z przekorą w głosie: - Nie widzę w tym nic złego. Wprawdzie nie są to książki, które czegoś uczą, ale często podnoszą ludzi na duchu.

- Takie książkowe valium, prawda? - Rosalind Millar roześmiała się z ironią. - Mimo to szkoda, że więźniarki nie mogą lepiej wykorzystywać czasu. Na przykład mogłyby uzupełniać swą edukację. Nie miałyście żadnych kursów?

- Miałyśmy. Ja zdałam egzaminy z trzech przedmiotów - oświadczyła Clare. - Z angielskiego, historii i psychologii.

Fenwick Marchand popatrzył na nią zdumionym wzrokiem. Najprawdopodobniej dotychczas uważał, że jego pomoc domowa nie ma żadnego wykształcenia. Zapewne tak ją przedstawił w rozmowie ze swą sympatią.

- Jestem pełna podziwu - powiedziała pani profesor niezbyt szczerze. Trudno się było spodziewać, że zaimponują jej egzaminy maturalne. - A jakie miała pani wyniki?

- Dwa egzaminy zdałam doskonale, trzeci trochę słabiej - odparła Clare, po czym zwróciła się do pana domu: - Czy mogę odejść, proszę pana?

- Tak - odparł Marchand, wyraźnie zirytowany jej tonem.

Clare zdążyła jeszcze usłyszeć, że Rosalind Millar roześmiała się i zauważyła:

- Śmieszna ta mała. Czy wierzysz, że zdała te trzy egzaminy?

Clare zamknęła drzwi, nie czekając na odpowiedź. Podejrzewała, że i Marchand ma co do tego wątpliwości. Postanowiła się tym nie przejmować. Uznała, że pan domu oraz jego gość doskonale do siebie pasują, jej zaś oboje są najzupełniej obojętni.

Jednak postanowienie, by zachować obojętność, okazało się krótkotrwałe. Godzinę później zaniósła kawę i zastała Rosalind Millar samą w pokoju.

- Proszę wszystko postawić tutaj - odezwała się pani profesor, wskazując stolik obok siebie. - Pan Marchand poszedł po jakieś dokumenty, więc możemy chwilę same porozmawiać.

- O czym? - niechętnie spytała Clare.

- Hmm... Może się mylę - pani Millar uśmiechnęła się krzywo - ale wyczuwam między nami jakąś wrogość.

Clare milczała.

- A ja chciałabym zapewnić - ciągnęła pani profesor tonem wyższości - że może pani być spokojna o swoją posadę. Także i wtedy, gdyby moja znajomość z Fenwickiem przekształciła się w coś trwalszego, nic się nie zmieni. Nie starczy mi czasu na to, żeby zajmować się domem, nawet gdybym miała taką ochotę. Myślę, że się rozumiemy?

- Chyba tak. - Wbrew tym słowom Clare zrobiła minę, jakby nic nie pojmowała. Po chwili dodała: - Rozumiem, iż informuje mnie pani, że jeśli pan Marchand się z panią ożeni, ja nie dostanę wymówienia, bo pani nie chce się gotować i sprzątać. Czy tak?

- Ja... - Obcesowość Clare odebrała Rosalind Millar mowę. - Doprawdy... Nie wiem...

- Oczywiście, że nie! - rzuciła Clare i odwróciła się na pięcie.

Stała oko w oko z Marchandem. Przeraziła się, że usłyszał końcową wypowiedź. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że słyszał prawie wszystko. Nie spuściła wzroku, zdecydowana, iż nikogo za nic nie będzie przepraszać.

Błękitne oczy Marchanda błysnęły zimno zza okularów.

- Porozmawiam z tobą później - mruknął.

- Dobrze, proszę pana - powiedziała Clare i udała, że chce wykonać dworski ukłon.

Zirytowany jej zachowaniem gniewnie zacisnął usta, skinął lekko głową i podszedł do gościa. Clare wyszła, lecz nie zamknęła drzwi. Nie czując najmniejszych wyrzutów sumienia, postanowiła podsłuchiwać.

- Wiesz, Fenwicku - głos Rosalind Millar zdradzał zakłopotanie - muszę powiedzieć, że ta Clare jest wyjątkowo dziwną dziewczyną. Zapytałam ją tylko, jak się u was czuje, a ona od razu chciała wiedzieć, czy mam zamiar wyjść za ciebie i ją zwolnić. - Roześmiała się nieszczercze.

- Tak, jest nieco dziwna - przyznał Marchand jakby w roztargnieniu i zaraz przeszedł do innej sprawy. - Rosalind, jeszcze raz ci serdecznie dziękuję za to, że mi pomogłaś załatwić szkołę dla Milesa. Gdzie...

Słowo „dziwna” ubodło Clare do żywego. Wróciła do kuchni, nie posiadając się z oburzenia. Uznała, że pani Millar z premedytacją wszystko przekreśliła i wprowadziła Marchanda w błąd. Zaczęła poważnie zastanawiać się nad tym, czy mogłaby kontynuować pracę, gdyby Rosalind została panią domu. Po chwili uznała takie rozważania za jałowe, gdyż ostateczna decyzja wcale nie zależała od niej.

Wieczorem, gdy szła do siebie, Marchand stanął w drzwiach salonu.

- Panno Anderson - zwrócił się do niej oficjalnym tonem. - Chciałbym zamienić z panią kilka słów.

Weszła przekonana, że otrzyma reprimendę w obecności gościa, lecz pani profesor już nie było. Widocznie odjechała, gdy Clare była zajęta sprzątaniem kuchni.

Fenwick nie poprosił, by usiadła, sam zaś stanął przy kominku. I od razu przystąpił do rzeczy.

- Może zechciałabyś mi powiedzieć, o czym rozmawiałaś z panią Millar.

- Ja... my o niczym nie rozmawialiśmy - powiedziała Clare. - Po prostu pani profesor raczyła poinformować mnie o swoich zamiarach i oczekiwała pełnego zrozumienia z mojej strony. Zapewniłam ją, że rozumiem, o co jej chodzi.

Mówiła, naśladowując nieco pompatyczny sposób wyrażania się Rosalind. Nie uszło to uwagi Marchanda.

- Wydaje mi się, że słyszałem to twoje „zapewnienie” - sucho zauważył Fenwick. - Chciałbym wiedzieć, co spowodowało, iż się tak zapomniałaś... Czy pani Millar sugerowała, że już niedługo się pobierzemy?

- Nie - przyznała Clare niechętnie.

To, że pani profesor napomknęła o bliższym związku nie oznaczało jeszcze, iż mówiła o zamierzonym ślubie.

- A czy ja coś podobnego kiedykolwiek mówiłem?

- Nie - odparła Clare, żałując, że w odpowiednim momencie nie trzymała języka za zębami.

- Aha. Widzę, iż ty sama za mnie zdecydowałaś - powiedział Fenwick z gryzącą ironią. - Prawdopodobnie uważasz, że Rosalind Millar i ja doskonale do siebie pasujemy. Tak?

- Zawiesił głos, czekając na odpowiedź.

- Ja... przecież to nie moja sprawa.

- Oczywiście, że nie - przyznał Marchand. - Co jednak nie przeszkadza, iż i tak na ogół mówisz, co myślisz. No więc bardzo proszę, teraz też się nie krępuj...

Pochylił głowę i czekał.

Clare zdawała sobie sprawę z tego, że mówiąc z taką ironią, chciał dać jej odczuć, gdzie jest jej miejsce. Za bardzo jednak wciąż bolało ją określenie „dziwna”, więc była głucha na głos rozsądku, który podpowiadał, iż należy milczeć...

- Dobrze, powiem - zdecydowała się. - Uważam, że państwo bardzo do siebie pasujecie.

- Podejrzewam, iż to miało być obraźliwe. Tylko nie wiem, jak bardzo.

Clare zacisnęła usta i dopiero teraz postanowiła milczeć. Wiedziała, że i tak powiedziała stanowczo za dużo. Drgnęła, gdy usłyszała:

- Rozumiem, że pani Millar nie przypadła ci do gustu. Wzruszyła ramionami i mruknęła:

- Czy moje odczucia w ogóle się liczą?

- Być może. Gdybym ożenił się z Rosalind, musiałabyś jej słuchać...

Czekał na jej reakcję, wpatrując się w nią z napięciem. Clare nie chciała zdradzić się ze swymi uczuciami. Sama była zaskoczona tym, że tak gwałtownie zareagowała na wiadomość o ewentualnym małżeństwie Fenwicka i Rosalind. U podłoża wcale nie leżała obawa o byt ani niechęć do słuchania pani domu. Jej gniew wynikał głównie ze świadomości, że Marchand mógłby poślubić inną kobietę, gdy tymczasem...

Nie dokończyła swej myśli. Nawet przed sobą nie chciała się przyznać do tego, jakie widzi rozwiązanie. Z trudem uciszyła głos serca. Fenwick Marchand i Rosalind Millar stanowili dobraną parę; oboje byli wprawdzie mądrzy, ale pedantyczni i nudni. Nie posiadali ani trochę radości życia, więc byli jakby dla siebie stworzeni!

- Oczywiście będę przyjmować i wykonywać jej polecenia - odparła chłodno. I równie chłodno zapytała: - Czy to będzie skromne wesele w rodzinnym gronie? Takim mogłabym się zająć. Oczywiście, jeśli pan sobie tego życzy.

- Do jasnej cholery! - wybuchnął Marchand. - Na pewno nie ty się tym zajmiesz!

Clare tak się przeraziła gwałtownością jego reakcji, że postanowiła czym prędzej wycofać się na górę.

- Dobrze, proszę pana. Dobranoc.

Odwróciła się i wyszła. Fenwick dogonił ją na schodach i schwycił za rękę.

- Przestań mi serwować to „proszę pana”! - warknął z wściekłością.

- Proszę mnie puścić! - syknęła Clare i szarpnęła się do tyłu. Marchand schwycił ją obu rękami w talii i trzymał w żelaznym uścisku.

- O, nie. Najpierw musimy sobie to i owo wyjaśnić. Po pierwsze, nie będzie żadnego ślubu. Ani z Rosalind, ani z żadną inną kobietą. Masz szczęście, bo żadna by nie wytrzymała z taką, co siedziała za kratkami, ale zawsze pyskuje, bo ma kompleks wyższości.

- Ja... ty... - Clare nie posiadała się z oburzenia. - To jawna niesprawiedliwość. Wcale nie wiesz, co ta twoja szemrana cizia wygadywała - rzuciła, używając słów wyniesionych z więzienia.

- Ta... szemrana... cizia... - Fenwick powoli cedził słowa - ma doktorat z historii starożytnej, a poza tym, jako mój gość, miała prawo mówić, co jej się żywnie podobało.

- Dlatego, iż jestem tylko służącą? Czy może dlatego, że siedziałam w kiciu?

- Oba powody są równie dobre - odparował Fenwick i widząc, że Clare chce go uderzyć, złapał ją za rękę.

- Puść mnie! - krzyknęła Clare i nie myśląc, co robi, chciała go kopnąć.

Marchand zrobił unik, lecz nadal mocno ją trzymał. Clare straciła równowagę, zachwiała się i spadła ze schodów, pociągając go za sobą. Spadli na półpiętro. Clare poczuła na sobie ciężar ciała mężczyzny. Przez chwilę doznała zdradzieckiego zawrotu głowy. Nie chcąc ulec ogarniającemu ją uczuciu, zaczęła się szarpać i krzyczeć:

- Wstawaj!

- Nie wrzeszcz! Sama jesteś sobie winna. To ty mnie pociągnęłaś, a nie ja ciebie.

Dopiero po chwili odsunął się i usiadł na schodach.

- Chyba nie podejrzewasz, że... - zaczęła Clare i urwała, rumieniąc się ze wstydu.

- Że próbowałaś mnie uwieść? - Marchand zaśmiał się nieprzyjemnie. - Nie. Nawet ty musiałabyś zdobyć się na bardziej subtelne metody... Zakładając, że przyszedłaby ci ochota na to, by mnie czarować.

- Jak mam to rozumieć? - rzuciła Clare. Była tak zła, że nie widziała komizmu całej sytuacji.

Fenwick popatrzył na nią z ukosa.

- Podejrzewam, że zawsze łaskawie czekasz na inicjatywę ze strony mężczyzn... Zgadłem?

- Ja... przecież... nie mam nikogo - wyznała Clare, czując się coraz mniej pewnie.

- Aż trudno w to uwierzyć. - Fenwick wpatrywał się w nią, jakby z jej twarzy chciał wyczytać prawdę. - Jesteś za chuda i masz za krótkie włosy, ale ich odcień jest wyjątkowo piękny. Czy miałaś kiedyś długie włosy?

Clare skinęła głową i natychmiast myślami wróciła do czasów, gdy włosy spływały jej aż do pasa. Ścięła je po śmierci synka i od tamtej pory już zawsze miała krótkie.

- A twoje oczy... Nigdy nie widziałem tak cudownie zielonych oczu. - Patrzył na nią z zachwytem. - Są barwy szmaragdu i jak on twarde... Clare Anderson, widziałem już nieraz, jak reagujesz pod wpływem gniewu albo dumy, ale chciałbym wiedzieć, czy czasami ulegasz też innym emocjom.

Nie chcąc się z niczym zdradzić, Clare odwróciła wzrok i próbowała wstać, ale Marchand schwycił ją za rękę.

- Czego pan ode mnie chce? - spytała, znowu zwracając się do niego oficjalnie.

- Sam nie wiem. - W zamyśleniu pokręcił głową. - Chodzisz po domu bezszelestnie jak cień, a ja mimo to cały czas czuję twoją obecność.

- Czy wobec tego mam odejść?

Zadrżała ze strachu, że usłyszy nieodwołalne „tak”.

- Czy masz dokąd iść?

Zaprzeczyła w milczeniu.

- Nie masz rodziny?

Ponownie pokręciła głową.

- Wobec tego zostań - zdecydował Marchand. Clare odetchnęła z ulgą.

- Przepraszam za zachowanie wobec pani Millar. Byłam wściekła, że pan jej powiedział.

- Co mianowicie? - Fenwick zmarszczył brwi. - Że byłaś w więzieniu? - Clare przytaknęła. - Jej bezpośrednio nic nie mówiłem, ale zwierzyłem się najbliższemu koledze w pracy. Podejrzewam, że Rosalind dowiedziała się od niego.

Clare uwierzyła jego słowom i odetchnęła z ulgą.

- Przepraszam. Nie powinienem był zdradzać twojej tajemnicy.

Po chwili podniósł się i pomógł Clare wstać. Jej drobna ręka zniknęła w jego dużej dłoni. Stała na wyższym stopniu, lecz i tak musiała podnieść głowę, by spojrzeć Marchandowi prosto w oczy. Patrzyli na siebie w milczeniu. Clare czuła, że zaczyna ulegać czarowi stojącego obok mężczyzny, więc odwróciła wzrok. Poczula znany ucisk w gardle, gdy Fenwick objął ją i mocno przytulił. Pochylił się i delikatnie ją pocałował.

- Nie - szepnęła, odpowiadając na jego niemą prośbę.

Udał, że nie słyszy. Jego pieszczoty stawały się coraz bardziej namiętne i Clare poczuła przeszywający ją dreszcz. Przytuliła się mocniej i odwzajemniła pocałunki.

- Chodźmy do mnie - gorąco szepnął Fenwick. - Tak bardzo cię pragnę. Przecież chcemy tego oboje.

Clare potrząsnęła głową. Wmawiała sobie, że ona go nie pragnie. Zresztą nie pragnęła nikogo. Uległa tylko chwili słabości. Z trudem się opanowała i odsunęła.

- Ja nie chcę.

Marchand zaklął, lecz wypuścił ją z objęć. Stali, ciężko oddychając i patrząc na siebie rozplómiionym wzrokiem.

- Dlaczego? - Fenwick z trudem wydobył głos.

- Bo to nie o mnie chodzi - twardo odpowiedziała Clare. - Pana ogarnęło pożądanie, a ja akurat jestem pod ręką.

- Tak sądzisz? - gniewnie zapytał. - To znaczy, że nie masz o mnie zbyt dobrego zdania. Zgadłem?

- Nie. Ja myślę raczej o sobie.

Marchand roześmiał się, lecz ów śmiech zdradzał tłumioną wściekłość.

- Pewnie myślisz, że jesteś za dobra dla mnie, tak? Księżniczka z Pentonville, widzicie ją!

- Pentonville jest więzieniem dla mężczyzn - rzuciła z pogardą. - Ale jest coś w tym, co pan powiedział... Niech pan się lepiej trzyma Rosalind Millar.

Odwróciła się na pięcie i weszła na schody. Marchand krzyknął w ślad za nią:

- Nie martw się! Na pewno skorzystam z twojej rady!

Weszła do swego pokoju i zamknęła drzwi. Nie rozplakała się, tak jak poprzednim razem; ogarnęła ją wściekłość. Na niego i na siebie. Uświadomiła sobie jasno, że bardzo pragnie tego mężczyzny. Żadnego innego, lecz właśnie tego. Była jednak święcie przekonana, że jest już niezdolna do prawdziwej miłości i dlatego uważała, iż to nie może być żadne głębsze uczucie. Mimo to musiała przyznać, że w ramionach Fenwicka zupełnie traci panowanie nad sobą. Jego nieodparty urok nie wynikał jedynie z klasycznie męskiej urody. Być może pociągała ją jego namiętna natura, ledwie wyczuwalna pod chłodną maską profesora uniwersyteckiego.

Otrząsnęła się z marzeń. Fenwick Marchand nie był mężczyzną dla niej. Kobieta w jej sytuacji mogła zostać jego kochanką, ale nikim więcej. Mężczyźni, tacy jak on, nie żenią się z takimi kobietami jak ona. Postanowiła, że w przyszłości nigdy o tym nie zapomni.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tym razem nie było żadnych przeprosin. Marchand przyszedł na śniadanie razem z synem, jak gdyby nigdy nic. Bez słowa popatrzył Clare prosto w oczy, a ona spokojnie wytrzymała jego spojrzenie. Rozumieli się bardzo dobrze. Śniadanie przebiegło normalnie.

Postanowiła, że nie poprosi o zwolnienie, gdyż to by oznaczało, iż chce uciec, że nie ufa samej sobie. Nie chciała dostarczyć Fenwickowi aż takiej satysfakcji. Będzie musiał sam dać jej wymówienie, jeżeli uzna, iż nie mogą żyć pod jednym dachem.

Okazało się jednak, że mogą. Marchand najwidoczniej nie miał zamiaru szukać nowej gospodyni. Clare nie odwołała lekcji jazdy, lecz zauważyła, iż jest obserwowana, gdy instruktor, Paul Dyson, po nią przyjeżdża.

Podejrzewała, że nadal jest potrzebna głównie ze względu na Milesa, którego miała zawozić do szkoły i przywozić do domu. W głębi serca czuła, iż nie może chłopcu sprawić zawodu, choćby dlatego, że on zawsze stawał po jej stronie.

Zaraz następnego dnia po wizycie pani Millar Miles przyszedł do Clare i zapytał prosto z mostu:

- Czy pani naprawdę była w więzieniu? Clare skinęła głową.
- Za co?
- Za kradzież - wyznała cichym głosem.

- Och! - Widać było, że chłopiec zupełnie nie może pogodzić swej dotychczasowej opinii o Clare z tym, co właśnie usłyszał. - Założę się, iż pani tego nie zrobiła bez poważnego powodu.

- Byłam przekonana, że powód jest niezwykle ważny i usprawiedliwia mdj czyn, ale wszystko obróciło się przeciwko mnie. Teraz wiem, że w każdym postępowaniu zawsze najlepsza jest uczciwość.

Miles zgodził się z tą opinią.

- Za każdym razem, kiedy skłamię - przyznał się - wychodzi to na jaw i wtedy ojca ponosi. Tata brzydzi się kłamstwem, bo sam jest bardzo uczciwy.

Clare przyznała w duchu, że Fenwick Marchand istotnie jest uczciwym człowiekiem. Okazał się przyzwoitym pracodawcą. Jeśli zaś chodzi o uczucia, jakie wobec niej żywił, był aż do przesady uczciwy. Nigdy nie wmawiał jej, iż ją kocha, ale przyznał się, że bardzo jej pożąda.

- Pewnie dlatego ciocia prosiła go, żeby dał pani szansę - dodał Miles. - Czy to było tuż po pani wyjściu z więzienia?

- Tak.

Chłopiec przez chwilę coś rozważał, po czym oświadczył:

- Moim zdaniem tata nie powinien o tym mówić pani Millar. Przecież to nie jej sprawa.

- Być może uważał, że powinna wiedzieć.

- Bo mają się pobrać? - spytał Miles głosem, w którym wyczuwało się jego niechęć do tego projektu.

- Możliwe.

Clare uznała za stosowne przemilczeć to, co usłyszała od Marchanda. Wiadomo, iż mężczyźni często mówią jedno, a robią coś zupełnie innego.

Pozornie wyglądało na to, że i Fenwick nie jest wyjątkiem. Clare przestała zasiadać do wspólnych obiadów, natomiast Rosalind Millar zaczęła coraz częściej przyjeżdżać w południe lub pod wieczór.

Pewnego dnia niespodziewanie przyszła do kuchni. Chłopiec siedział przy stole, jadł herbatniki polewane czekoladą i pił lemoniadę.

- O, Miles... Co pijesz? - spytała Rosalind.

- Lemoniadę - odparł niechętnie i począł się zastanawiać, czy znowu zrobił coś niestosownego.

- Natychmiast odstaw szklanę - rzuciła Rosalind ostro i zwróciła się do Clare: - Podejrzewam, że kobieta pani pokroju niezbyt dużo wie o racjonalnym odżywianiu i dlatego proszę, żeby pani nie dawała dziecku takiego paskudztwa.

- Przecież to zwykła lemoniada - sucho odparła Clare. Jej zdaniem pani Millar stanowczo przesadzała.

- Ale zawiera różne szkodliwe składniki - oświadczyła pani profesor tonem wyższości.

Clare milczała, wiedząc, że lemoniada, którą kupuje, jest bez środków konserwujących.

- Nie dawałabym mu też stale ciastek - ciągnęła Rosalind.

- Nic dziwnego, że jest taki... taki nadpobudliwy.

- Przecież on wcale nie jest nadpobudliwy.

Clare uznała, że ma już dość nonsensów wygłaszanych przez panią Millar. Przygotowując się do egzaminu, czytała wiele prac z zakresu psychologii dziecka i była pewna, iż Miles nie wykazuje żadnych niepokojących objawów.

- O, widzę, że czuje się pani znawcą w tej dziedzinie - stwierdziła pani profesor z wyraźną pogardą w głosie.

- Pewnie czytała pani jakieś artykuły w czasopismach dla kobiet... Wolałabym usłyszeć opinię psychologa z dużym doświadczeniem.

Clare, pomna, że jest tylko służącą, zaczęła liczyć do dziesięciu. Zamiast niej odezwał się Miles, spokojnie i rzeczowo oświadczając:

- Pani Clare ma rację. Mama zaprowadziła mnie kiedyś do psychologa i on stwierdził, że nie jestem nadpobudliwy. Słono sobie kazał za to zapłacić - dodał pogardliwym tonem.

Nie mogąc natychmiast znaleźć odpowiedzi, pani profesor wciągnęła głęboki oddech. Clare udało się opanować rozbawienie, lecz Miles otwarcie się roześmiał. Rosalind Millar zrozumiała, że ma teraz ich dwoje przeciwko sobie.

- Ciekawa jestem, czy pan Marchand zdaje sobie sprawę z tego, jaki pani ma wpływ na jego syna. - Twarz jej niedwuznacznie mówiła, że ów wpływ jest bardzo niewłaściwy.

- Najwyższy czas, żeby ktoś mu o tym powiedział.

Z tymi słowami wyszła, a Miles zrobił minę.

- Nigdy w to nie uwierzę, że tata poważnie o niej myśli - oświadczył bez żenady.

- Miles! - Clare niezbyt ostro przywołała go do porządku.

Sama była ciekawa, co łączy Fenwicka z Rosalind. Pani Millar najwidoczniej uważała, że zanosí się na trwalszy związek i dlatego rościła sobie prawo do zwracania uwagi wszystkim naokoło.

Kilka dni później Clare nabrała pewności, że sprawy posunęły się zdecydowanie dalej. Miles spóźnił się na śniadanie, ponieważ ojciec nie przyszedł go obudzić.

Chłopiec zdążył wszystko zjeść, a Marchanda nadal nie było. Clare zaczęła się zastanawiać, czy to oznacza, że spędził noc poza domem.

Poprzedniego wieczoru powiadomił ją, iż wybiera się na przyjęcie i prosił, aby zaopiekowała się Milesem. Rano samochodu nie było ani na podwórzu, ani w garażu. Być może Marchand wrócił taksówką, jak wtedy, gdy Clare zdawało się, że do domu zakradli się włamywacze.

Uporządkowała wszystko w kuchni i poszła na piętro. Najpierw sprzątnęła pokój Milesa, potem korytarz i łazienkę. Został tylko pokój pana domu. Zapukała, lecz nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Otworzyła więc drzwi i weszła.

W sypialni nie było nikogo, a w dodatku łóżko było pościelone, co niezbitcie świadczyło o tym, że pan domu nie spędził tej nocy u siebie.

Clare poczuła bolesny skurcz serca. Zrobiła krok do tyłu i krzyknęła przestraszona, czując, że nadepnęła komuś na nogę.

- To tylko ja - odezwał się Marchand.

Gwałtownie się odwróciła.

- Rzeczywiście! - rzuciła ze złością.

- Co robiłaś w moim pokoju? - spytał i podejrzliwie na nią popatrzył.

- Chciałam pościelić łóżko, ale widzę, że nie ma potrzeby - wycedziła.

Marchand przez chwilę milczał, potem spojrzał znacząco i wreszcie przyznał:

- Rzeczywiście nie ma tu co robić. Możesz nie sprzątać mojej sypialni, gdy będę nocował poza domem.

- Dobrze - powiedziała Clare lodowatym tonem i zamierzała odejść.

- Nie chcesz się dowiedzieć, gdzie byłem? - spytał Fenwick, tarasując przejście.

- Nie bardzo - odparła. Jej oczy mówiły jednak coś innego.

- Myślisz, że spędziłem noc z Rosalind, prawda? - zapytał głosem, w którym wyczuwało się rozbawienie.

Clare z trudem panowała nad sobą. Nie rozumiała, dlaczego jemu cała ta sytuacja wydaje się śmieszna.

- To nie moja rzecz - oświadczyła.

- Tak, znowu ta twoja ulubiona odpowiedź. - Mężczyzna zrobił niezadowoloną minę. - Teoretycznie masz oczywiście rację. Nie muszę cię prosić o pozwolenie na to, by się przespać, z kim chcę. Całe szczęście, bo czuję, jak mnie potępiasz.

Clare miała na twarzy nieprzeniknioną maskę.

- Jeśli o mnie chodzi, może pan robić, co się panu żywnie podoba - rzuciła z gniewem, usiłując precyzyjnie się na korytarz.

Fenwick schwycił ją za rękę.

- Popatrz na mnie! Przyjrzyj mi się! Czy wyglądam, jakbym się kochał przez całą noc?

Clare uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Ja... - zaczęła, rumieniając się po cebulki włosów.

Marchand wyglądał tak, jak zawsze; był wypoczęty, ogolony, uczesany. Sprawiał wrażenie człowieka, który spokojnie przespał całą noc.

- No więc? Jak wyglądam? - powtórzył, z odcieniem szyderstwa w głosie.

Widząc, że Fenwick bawi się jej kosztem, Clare poczuła rosnącą wściekłość. Jej zakłopotanie się ulotniło, zapomniała o swej pozycji i nie zastanawiając się, powiedziała to, co jej przyszło do głowy:

- Widzę, że się pan wyspał, ale to chyba dlatego, że pańska sympatia jest w łóżku tak samo pasjonująca, jak w innych sytuacjach!

Najwidoczniej nie oczekiwał, że Clare może odciąć się w taki sposób. Jego zaskoczenie było ogromne, lecz natychmiast odplącił jej pięknym za nadobne, mówiąc:

- No, na pewno nie tak, jak ty.

Clare miała wrażenie, że się przesłyszała, więc spojrzała uważniej. W oczach mężczyzny, wpatrzonych w nią z napięciem, wyczytała ogromne pożądanie. Poczula, że ona sama też bardzo go pragnie i aż się przeraziła. W tym momencie Fenwick uśmiechnął się, jakby ją przejrzał na wylot, i to nieoczekiwanie ją rozwścieczyło.

- Idź pan do diabła! - syknęła, odwróciła się i pobiegła do siebie.

Marchand nie ruszył się z miejsca, lecz jego gardłowy, szyderczy śmiech ścigał Clare aż na samą górę. Oboje zdawali sobie sprawę, że tę rundę wygrał on.

Dopiero nieco później Clare uświadomiła sobie, że to był moment, gdy powinna była odejść. Niestety, nie miała dokąd. Poza tym, pomijając zdarzające

się czasami dwuznaczne sytuacje, czuła się w Woodside Hall zupełnie bezpieczna.

Miała własne mieszkanie, a w nim coraz więcej książek i różnych drobiazgów, które przywoziła sobie z Oksfordu. Ważne było też to, że kończyła kurs jazdy i miała nadzieję, iż nieźle zda egzamin. Ćwiczyła bardzo pilnie, mimo rosnącej antypatii do instruktora.

Paul Dyson był żonaty i miał dwoje dzieci. Mimo to niedwuznacznie uwodził swą uczennicę. Jak dotąd Clare umiejętnie bronila się przed jego zalotami. Pewnego dnia, po skończonej lekcji, podszedł do nich Fenwick Marchand.

- Czy pańska uczennica robi postępy? - zwrócił się do Dysona.

- Owszem, i to duże. - Instruktor błysnął zębami w przymilnym uśmiechu.

- Niedługo będzie mogła zdawać egzamin.

- To dobrze - rzekł Fenwick i odszedł, nie zaszczyciwszy Clare ani jednym spojrzeniem.

- Ale oschły facet - zauważył Dyson. - Od jak dawna pani u niego pracuje?

- Od kilku miesięcy - niechętnie odparła Clare. Dyson nie dał się zbić z tropu.

- A co pani robi? Pracuje jako sekretarka?

- Nie. Prowadzę dom - padła krótka odpowiedź.

Na twarzy instruktora odmalowało się niedowierzenie.

- Zawsze myślałem, że pomoce domowe to pospolite i brzydkie kobiety około pięćdziesiątki... Pani do tego obrazu wcale nie pasuje.

Popatrzył na Clare z jawnym zachwytem w oczach.

- Doprawdy?

- Pewnie czuje się pani bardzo samotna - ciągnął Dyson. - W domu chyba nie ma za dużo pracy, a taki szef nie jest zbyt wesołym towarzyszem.

Clare w duchu przyznała mu rację.

- Zastanawiam się, czy miałyby pani ochotę spotkać się ze mną prywatnie. Moglibyśmy pojeździć czymś lepszym...

- Skrzywił się, patrząc na skromny samochód służący do nauki. - Potem skoczylibyśmy do jakiegoś klubu w Oksfordzie.

- Wszyscy razem? - spytała Clare bez zachwyty.

- Jacy wszyscy? - Udał, że nie rozumie, o co jej chodzi.

- Wszyscy, to znaczy pan, ja, pańska żona. I może jeszcze dzieci?

- Jaka żona? Dlaczego pani uważa, że jestem żonaty?

- A do kogo należy ta parasolka? I czyje są te książki? - spytała niewinnie.

Dyson popatrzył jej prosto w oczy i uznał, iż lepiej powiedzieć prawdę.

- Przyznaję, że zgadła pani. Jestem żonaty. Ale wnieśliśmy już sprawę o rozwód.

- Ciekawam dlaczego - rzuciła Clare bez cienia zainteresowania i wysiadła.

Dyson wyskoczył z samochodu i widząc, że Clare odchodzi, krzyknął za nią:

- Czy mam to potraktować jako odmowę?

- Bezapelacyjną! - zawołała i uśmiechnęła się, rozbawiona bezczelnością swego instruktora.

Przy schodach natknęła się na Marchanda.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał Fenwick, jak gdyby uważał, że śmiech jest zabroniony.

- Nic. Dyson opowiedział mi niezły dowcip - skłamała Clare na poczekaniu.

- Naprawdę? - Na twarzy Marchanda malował się niesmak. - Zawarliście bliższą znajomość?

Clare powinna była zaprzeczyć, ponieważ nie miała najmniejszego zamiaru nawiązywać żadnych bliższych kontaktów ze swym instruktorem.

Uznała jednak, że jej sprawy nie powinny Fenwicka interesować, więc tylko wzruszyła ramionami. On odczytał to po swojemu.

- Dowiedz się najpierw, czy jest żonaty - oświadczył tonem nagany.

Clare nie zdołała ukryć ironicznego uśmiechu.

- To cię bawi? - zapytał Fenwick urażonym tonem.

- Fakt, że on jest żonaty, wcale mnie nie bawi - odparła.

- To, że pan chce mi prawić kazania, tak. Jestem tu wprawdzie tylko służącą, ale nie jestem pańską własnością.

Marchand usiłował opanować wzbierającą złość. Clare wiedziała, iż się nieodpowiednio zachowała, lecz stosunki między nimi zaszły już tak daleko, że uniemożliwiały bezosobową grzeczność. Za późno, by którakolwiek ze stron udawała, iż jest inaczej.

- Skoro pamiętasz, że cię zatrudniam, nie zapominaj, iż mogę cię zwolnić - powiedział z wyraźną groźbą w głosie.

- Nie przeczę, że to możliwe - przyznała Clare.

Patrzyła na swego pracodawcę wyzywająco. Wiedziała, iż któregoś dnia ją zwolni, więc może najlepiej, gdyby zrobił to zaraz, zanim...

- Idź na randkę z Dysonem, a na pewno stąd wylecisz - rzucił Fenwick ostrym, nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Odwrócił się, nie czekając na jej odpowiedź i wszedł do gabinetu. Clare czuła, że ogarnia ją bezsilna wściekłość. Marchand nie miał żadnego prawa wtrącać się do jej prywatnego życia.

Kiedy znalazła się u siebie, uznała, że nadszedł moment, by odejść. Zaczęła zastanawiać się, dokąd pójdzie i co będzie robić oraz na jak długo starczy jej zaoszczędzonych pieniędzy.

Zreflektowała się jednak, gdy pomyślała o Milesie. Wiedziała doskonale, że stała się chłopcu bardzo potrzebna.

Zawsze u niej szukał rady i wsparcia. Nie mogła go teraz opuścić. Należało zaczekać aż do rozpoczęcia szkoły. Być może Miles znajdzie w klasie jakiegoś kolegę od serca, a wtedy ona nie będzie mu tak bardzo potrzebna.

Rok szkolny rozpoczął się w poniedziałek. Marchand zawiózł syna i wrócił do domu, ponieważ zajęcia na uniwersytecie jeszcze się nie odbywały.

Clare poczuła się nieswojo. Przyzwyczała się do tego, że Miles dotrzymywał jej towarzystwa, więc bez niego dom zrobił się pusty. Fenwick był tak zajęty pracą, że lunch zjadł u siebie w gabinecie. Clare zjadła tylko kilka kanapek.

Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że czuje się bardzo samotna. W więzieniu nigdy nie była sama i wtedy marzyła o chwili izolacji. Wśród współwięźniarek nie miała żadnej bliskiej osoby. Przez cały czas odsiadywania kary z nikim się nie zaprzyjaźniła i nawet stworzyła mur między sobą a innymi. Mimo to nigdy nie czuła się osamotniona.

Przez ostatnie tygodnie przyzwyczała się do tego, że w domu był Miles, którego głos i śmiech słyszała przez cały dzień. Cisza, która zapanowała teraz w domu, zaczęła wpływać na Clare przygnębiająco.

Rozpromieniła się, gdy wreszcie po południu Miles wpadł do kuchni. Niemal od pierwszego słowa zaczął krytykować szkołę.

- Nie uwierzy pani, jakie tam towarzystwo. Same cudaki! - rzucił na samym początku.

- Mówisz o nauczycielach czy o uczniach? - zapytała Clare, nie traktując jego oświadczenia zbyt poważnie.

- O jednych i drugich - z niesmakiem odparł chłopiec.

I z wyraźnym obrzydzeniem dorzucił: - Mojemu wychowawcy, panu Carlisle, włosy rosną nawet na wierzchu dłoni.

- Naprawdę?

- I w uszach... Okropność! - Chłopiec wykrzywił się.

- Chce pani wiedzieć, co sobie pomyślałem?

Clare czuła, że powinna uciąć rozmowę na ten temat, lecz mimo to zapytała:

- No, co takiego?

- Pomyślałem... - Miles zniżył głos - że on mógłby być, a może jest... wilkołakiem.

- Wilkołakiem? - zdziwiła się Clare, uznając, że to żart.

- Przecież jest coś takiego - ciągnął poważnie. - Czytałem o tym w jakiejś książce. Te stworzenia mają całe ręce obrośnięte włosami, żółte, blisko osadzone oczy i niski głos. Pan Carlisle pasuje jak ulał - dodał, przekonany o słuszności swych wniosków.

- Załóżmy, że masz rację - rzekła Clare z powątpiewaniem w głosie. - Radzę ci jednak zachować tę wiadomość dla siebie.

- Dobrze. Nikomu nic nie powiemy - zapewnił uroczyście.

- Nie powiecie? To znaczy kto?

- Angus Petrie i ja. Obaj mamy takie samo zdanie.

- Rozumiem. - Clare miała ochotę dowiedzieć się, który z nich pierwszy dostrzegł w nauczycielu wilkołaka. Zamiast tego jednak spytała podchwytliwie:

- Czy ten Angus to też jakiś cudak z twojej klasy?

- Tak, ale on nie jest aż taki zły. Wprawdzie wydaje się dziwaczny, ale naprawdę wcale taki nie jest. Po prostu jest bardzo mądry - oświadczył Miles z niekłamany podziwem. - Przyznano mu stypendium, bo jego rodziców nie stać na taką szkołę. Właściwie to on ma tylko matkę, która całymi dniami ogląda telewizję i ęmi fajki... Ciekaw jestem, czy mógłbym zaprosić go na podwieczorek - spytał nieoczekiwanie. Widać było wyraźnie, że ma ogromną ochotę przyprowadzić kolegę do domu.

- Nie mam pojęcia. - Clare nie była pewna, jak Marchand zareaguje na perspektywę zaproszenia chłopca z „interesującego” środowiska. - Przecież to nie zależy ode mnie.

- Ale mogłaby pani tatę o to zapytać.

- O co zapytać? - rozległ się głos za ich plecami.

W drzwiach stał Fenwick Marchand.

- Ja... - Miles spojrzał najpierw na ojca, potem błagalnie na Clare i poderwał się, mówiąc: - Idę się przebrać.

Z tymi słowami wybiegł z kuchni.

- O co miałaś mnie zapytać? - odezwał się Marchand po wyjściu syna.

- To nic ważnego - odparła Clare, zabierając się do pracy. - Zastanawiał się tylko, czy mógłby przyprowadzić do domu kolegę ze szkoły.

- Kolegę? - Na twarzy Fenwicka odmalowało się zdziwienie. - Mówisz poważnie? Miles już ma kolegę?

- Tak. Czy to takie dziwne?

- Hmm... Nic mi o tym nie powiedział. - Marchand westchnął. - Przez całą drogę do domu starał się mnie przekonać, że szkoła to coś straszego.

- Niemożliwe.

- Tak mówił. Odniosłem wrażenie, iż cały dzień był jednym pasmem przykrości.

- Na pewno celowo przesadzał. Ale udało mu się znaleźć kolegę i to jest najważniejsze.

- Chyba masz rację - rzekł w zamyśleniu. - Bardzo jestem ciekaw, co to za kolega.

Clare wolała nie dzielić się tym, czego sama się już dowiedziała, więc jedynie zapytała:

- Czy Angus mógłby przyjść na podwieczorek? Chętnie coś dla chłopców przygotuję.

- Oczywiście. Milesowi bardzo brak towarzystwa, więc niech zaprasza kogo chce. Zaraz napiszę do matki tego chłopca i któregoś dnia przywiozę ich tutaj... Aha, byłbym zapomniał. Czy czujesz, że jesteś gotowa zdawać egzamin na prawo jazdy?

Clare wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem... mogę spróbować.

- W porządku. Ustalę jakiś termin w przyszłym tygodniu.

A jeśli chodzi o tego Dysona... - Urwał, szukając odpowiednich słów. - Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że posunąłem się za daleko. Możesz... lepiej zapomnij, co wtedy powiedziałem.

- Który fragment? - spytała, szczerze zdziwiona.

Nachmurzył się. Podejrzewał, że Clare tylko udaje, iż nie pamięta.

- O randkach. Masz prawo do prywatnego życia.

- Dziękuję - rzekła oschle.

Marchand poczuł ogarniający go gniew. Był przekonany, że zachowuje się nader przyzwoicie, a tymczasem Clare sprawiała wrażenie, jakby nie odczuwała ani odrobiny wdzięczności. W dodatku i ona miała poirytowaną minę.

- Czy to wszystko, proszę pana?

- Nie - odparł złowróżbnym tonem, z trudem hamując wściekłość. Ruszył za Clare i stanął w drzwiach spiżarni. - Chcę wiedzieć, co masz zamiar zrobić.

- W jakiej sprawie?

- W sprawie randki z Dysonem - wycedził ze złością.

- Nie wiem. - Clare wzruszyła ramionami. - Będę musiała jeszcze o tym pomyśleć... Skoro otrzymałam pańskie pozwolenie... - dodała głosem pełnym ironii.

- Cholera! Ty jesteś zupełnie niemożliwa! - Marchand najwidoczniej tracił już cierpliwość. - Robię, co mogę, żeby traktować cię przyzwoicie i stale ci ustępuję, bardziej niż którejkolwiek twojej poprzedniczce. Przymykam oczy na to, że zachowujesz się niegrzecznie wobec moich gości... Tak, pani Millar opowiedziała mi ze szczegółami waszą ostatnią rozmowę... Daję ci niezłą pensję i pozwalam prowadzić dom wedle twego uznania. A mimo wszystko czuję się

tak, jakbyś to ty mnie wyświadczała wielką łaskę. Jak to robisz? - zakończył z westchnieniem.

- Jeśli panu się coś nie podoba... - zaczęła Clare.

- Wiem, wiem. Mogę cię zwolnić - dokończył Marchand.

- Nie bądź taka pewna, że tego nie zrobię. Aż tak ważna to nie jesteś - mruknął pod nosem. Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Jego słowa wprawiły Clare w osłupienie. Nigdy nie podejrzewała, że mogłaby być niezastąpiona dla takiego człowieka. Nie rozumiała jego postępowania. Po każdej gniewnej wymianie zdań oczekiwała zwolnienia. To, co przed chwilą usłyszała, dało jej znów do myślenia.

Nie mogąc znaleźć innej przyczyny, doszła do wniosku, iż wciąż jeszcze ma pracę tylko ze względu na Louise albo na Milesa. Być może Marchand obiecał siostrze, że zatrudni jej protegowaną na trzy miesiące; wobec tego zostały jeszcze trzy tygodnie. Możliwe też, iż bierze pod uwagę dobro swego dziecka i dlatego powstrzymuje się z ostateczną decyzją.

Takie wytłumaczenie nie wzbudziło zachwytu Clare. Wolałaby nie stawać się osobą ważną w życiu chłopca. Nie chciała, aby zbyt na nią liczył. Postanowiła przecież, że z nikim nie zwiąże się na dobre. Dlatego bardzo się ucieszyła, że Miles znalazł kolegę.

Któregoś dnia chłopcy razem przyjechali ze szkoły. Miles przedstawił Angusa i zaraz obaj poszli na górę. W czasie podwieczorku chłopcy z ożywieniem rozmawiali. Głównym tematem ich żartów byli nauczyciele, a powodem skarg ilość pracy domowej. Clare słuchała ich zadowolona, że Miles wreszcie znajduje się w towarzystwie rówieśnika.

Marchand na szczęście zaakceptował miłego chłopca o wyjątkowo dużym zasobie wiadomości. Po obiedzie, kiedy zostali sami, zapytał:

- Co sądzisz o Angusie?

- Podoba mi się - odparła, zaskoczona, że ma wyrazić swoje zdanie.

Fenwick pokiwał głową.

- Bardzo inteligentny. I biorąc pod uwagę to, z jakiego środowiska pochodzi, jest bardzo zrównoważony.

- Tak tam źle? - spytała Clare, która poznała chłopca, lecz nie jego dom.

- Beznadziejnie. - Fenwick skrzywił się. - Mieszka na piętnastym piętrze obok bloku; ściany całe posmarowane, winda zepsuta, szyby powybijane. Zawiozłem go aż na górę. Matki nie było w domu, ale to normalne, bo pracuje do drugiej w nocy. Angus jest pozostawiony sam sobie. Mieszkanie wygląda strasznie, ale on nawet nie usiłował przeproszać za bałagan. - W głosie Marchanda można było wyczuć podziw dla biednego dziecka.

- Pewnie jest przyzwyczajony - szepnęła Clare.

- Możliwe, ale to nie zmienia faktu, że miałem ochotę od razu zabrać go z powrotem. - Fenwick zaśmiał się niewesoło. - Jak się dobrze zastanowić, byłby to niezły żart.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytała Clare, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- No przecież nie można powiedzieć, żebym sam był szczególnie dobrym ojcem - przyznał otwarcie.

- To nie pana wina - wyrwało się Clare. Nie spodziewał się zrozumienia z jej strony.

- Przecież nie tylko pan wychowywał Milesa - dodała.

- To prawda - przyznał - ale właśnie w tym moja największa wina.

Gdybym bardziej obstawał przy moich prawach rodzicielskich...

- Bardziej? W jaki sposób?

- Nieuczciwie - oświadczył Marchand, krzywiąc się z niesmakiem. Po chwili milczenia dodał: - Byłem na to zbyt dumny. Wydawało mi się, że będę mógł zatrzymać dziecko bez wywlekania wszystkich przykrych szczegółów z naszego życia. Tymczasem Diana nie miała żadnych skrupułów. Dlatego jej ostatecznie przyznano prawo do opieki nad synem. W końcu nawet ja sam prawie uwierzyłem, że jestem nałogowym alkoholikiem.

- Pańska żona twierdziła, że jest pan pijakiem? - Zaskoczenie Clare nie miało granic.

- To jeszcze nic. Wystąpiła ze znacznie gorszymi zarzutami, ale ja sam dałem jej ku temu powody.

- Nie wierzę. Co pan takiego zrobił?

- Na pewno nie to, co pomyślałaś. - Marchand zaśmiał się głucho. - Do śmierci sobie nie daruję, że nigdy nie dałem mojej żonie porządnie w skórę. Ale niestety raz, będąc pod wpływem alkoholu, zagroziłem, że jej strzelę w łeb. Żeby to chociaż było w cztery oczy, ale nie. Jej ojciec słyszał tę pogroźkę i w sądzie wystąpił jako świadek.

- Ale dlaczego jej pan groził? - padło nieśmiałe pytanie.

- Z powodu jakiegoś mężczyzny w jej życiu?

- Mężczyzny? - spytał z ironią. - Nie, wtedy już nic mnie to nie obchodziło... a ona nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Woląla wierzyć, że wciąż świata poza nią nie widzę.

Przez jego twarz przebiegł skurcz, gdy przypomniał sobie, co przeszedł. Zapatrzył się w pusty kieliszek. Clare zastanawiała się, dlaczego Marchand się jej zwierza. Może dlatego, że za dużo wypił?

- A czy pan... na początku? - spytała prawie szeptem. Fenwick popatrzył na nią, jak gdyby żałował, że się zwierzył. Po chwili jednak przyznał:

- Na samym początku rzeczywiście nie widziałem... Czy Louise mówiła ci, jak prędko się pobraliśmy?

- Coś wspominała - przyznała Clare.

- Pewnie, żeby wzbudzić twoje współczucie - zauważył.

- Siostra uważa moje nieudane małżeństwo za najlepszy dowód na to, że jestem zwykłym śmiertelnikiem. Woli ten argument niż moją niewybaczalną i absolutną głupotę. Powinienem mieć oczy otwarte jeszcze przed ślubem, a nie dopiero potem. Teraz wiem, że należało rozstać się znacznie wcześniej, ale mieliśmy już syna...

- Według Louise pana żona nie była przygotowana do macierzyństwa - cicho powiedziała Clare.

- Możliwe - zgodził się Fenwick, lecz bez przekonania.

- Miles nie był nie chcianym dzieckiem i Diana początkowo była zachwycona tym, że będzie matką. Jednak rzeczywistość przyniosła rozczarowanie. Przez dzień, dwa moja żona z zapalem odgrywała rolę idealnej matki, po czym wyjeżdżała sobie do Londynu na cały tydzień. Ileż to razy zawiodła syna! - mruknął ze złością. - Kiedyś wszystko było przygotowane do wyjazdu na wakacje. Miles czekał i czekał. Matka zjawiała się z czterodniowym opóźnieniem.

- I wtedy tak jej pan zagroził?

- Niezbyt to było eleganckie, a jak się później okazało, zupełnie idiotyczne - przytaknął z goryczą.

- Przecież pana sprowokowała.

Clare była zdecydowanie po stronie mężczyzny. Opowiedziała się za nim bez wahania.

- Możliwe. - W głosie Marchanda nie było przebaczenia dla samego siebie. Podszedł do barku, wziął butelkę, obejrzał się i zapytał: - Napijesz się?

Clare przecząco pokręciła głową.

- Powiedz mi szczerze, ty naprawdę nie pijesz, czy tylko boisz się skompromitować?

- Co takiego?

- Postępujesz wedle zasady: „on - jaśnie pan, ja - tylko jego sługa”. - Marchand nalał sobie kieliszek whisky. - Rozumiem, że to powód, dla którego przestałaś jadać z nami obiady. Nie chcesz się spoufalać, tak?

Clare nie mogła wyczuć, czy Fenwick mówi poważnie, czy żartuje. Na jego ustach błąkał się uśmiech, lecz w oczach była powaga.

- Myślałam, że pan nie bardzo chce, żebym siedziała przy stole, gdy przyjeżdża pani Millar.

- Dość słuszone założenie - przyznał Marchand - ale przecież Rosalind wcale nie jest stałym gościem. - Po chwili milczenia dodał: - Wolałbym jednak, byś z nami jadła, choćby dlatego, żeby Miles nie miał wrażenia, że cię zdradziłem na rzecz pani Millar.

- Ależ to zupełnie śmieszne - rzekła mocno speszona.

- Oczywiście - potwierdził Fenwick. - Ale okazuje się, że mój syn widzi wszystko po swojemu. I coraz bardziej nie lubi Rosalind, natomiast tobie nigdy nie ma nic do zarzucenia.

Clare odczytała to jako oskarżenie, więc postanowiła się bronić.

- Chyba pan nie myśli, że nastawiam dziecko przeciwko pani Millar.

- Wcale tak nie sędzę - oświadczył Marchand. - Miles poczuł antypatię do Rosalind zaraz pierwszego dnia, a spotkali się na długo przedtem, nim ty się pojawiłaś w naszym życiu. Po prostu teraz widać to coraz wyraźniej.

- Przecież to nie moja wina. Nie prosiłam Milesa, żeby się tak do mnie przywiązywał. To jakoś samo się stało. Dziecko czuło się osamotnione, a ja byłam pod ręką.

- Czy tak samo oceniasz to, co zaszło między nami?

- Oczywiście mężczyźni mówiły znacznie więcej niż usta. - Nie masz zbyt wygórowanej opinii o sobie, prawda?

- Ja... może nie tylko to. - Clare czuła, że traci grunt pod nogami.

Uchwyciła się więc tematu dziecka. - Jeśli chodzi o Milesa, to jego sympatia do mnie chyba nie będzie zbyt trwała. Kiedy już będzie miał kolegów...

- A jeżeli będzie jednak trwała? - przerwał jej Marchand.

- Nie... niemożliwe - upierała się. - Przecież nigdy się nie przywiązał do żadnej z moich poprzedniczek, prawda?

- Nie. Ale też ty nie jesteś podobna do żadnej z nich.

- Cały czas wpatrywał się w nią z napięciem. - Jesteś dużo młodsza i ładniejsza, a przede wszystkim mądrzejsza. Nie ma się co dziwić, że mój syn tak się do ciebie przywiązał.

Clare znowu odebrała to jako oskarżenie, nieco zawoalowane, ale jednak oskarżenie. Jej nastawienie do Marchanda zmieniło się diametralnie i, niewiele myśląc, rzuciła:

- Jeżeli to panu tak bardzo przeszkadza, to pan wie, że w każdej chwili...

- ...mogę cię zwolnić - dopowiedział Fenwick. - Owszem, zawsze mogę to zrobić. Ale czy ty sama tego pragniesz?

- Ja? - Clare była przekonana, że ona nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. - Dlaczego ja miałabym chcieć stracić pracę?

Pytanie w zasadzie było retoryczne, lecz Marchand chwilę się nad nim zastanawiał, zanim odpowiedział:

- Być może nie jest to wcale sytuacja bez wyjścia. Ty i Miles... ty i ja.

- Nie pojmuję, o czym pan mówi. Nawet nie starała się zrozumieć.

- Być może i my zaczęliśmy coś znaczyć w twoim życiu - zauważył Fenwick - i właśnie to cię tak dręczy.

Clare pokryła swe zmieszanie, udając gniew. - Przyznaję, że pan jest dla mnie bardzo ważny - odcięła się. - Przecież mi pan płaci.

- Tylko dlatego? - Marchand patrzył na nią oczyma pełnymi wyrzutu.

Nie znosił kłamstwa. Clare nawet nie drgnęła powieką. Patrzyła zimno, tak jak się tego nauczyła w więzieniu. Fenwick pokiwał głową i zaklął z cicha.

- Do diabła. Mojej siostrze się wydaje, że to ja się boję zaangażowania emocjonalnego...! Czy wielkim grzechem byłoby przyznać się choćby do tego, iż trochę polubiłaś Milesa? Często widzę was razem, zatopionych w rozmowie, roześmianych. Wydajecie się tacy szczęśliwi w swoim towarzystwie. Wtedy myślę sobie, że to mógłby być twój syn.

Twój syn. Te słowa poraziły Clare. Peter. Bezgłośnie wymówiła jego imię i serce się jej ścisnęło. Ból, jaki odczuła, odbił się na jej twarzy.

Poczuła łzy napływające do oczu. Z trudem je powstrzymywała. Nie chciała opowiadać o swym dziecku, lecz milcząc, jak gdyby wypierała się własnego syna.

- Co się stało? - Mężczyzna odstawił kieliszek i podszedł bliżej. - Co ja takiego powiedziałem? Co ci jest?

- Ja... Nic. - Clare przełknęła z trudem. - Nic mi nie jest. Ja... ja... - Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Marchand domyślił się.

- Ty też masz syna, tak? - spytał cicho.

Clare milczała. Chciała zaprzeczyć, aby położyć kres rozmowie na ten temat. Lecz nie mogła tak całkowicie i otwarcie wyprzeć się swego dziecka.

- Gdzie on jest? - dopytywał się Fenwick.

- Ja... - Clare nie mogła się zdobyć na kłamstwo. - Nigdzie... On... nie żyje.

Zamknęła oczy, łudząc się, że dzięki temu się nie rozpłacze. W duchu błagała Marchanda, aby zostawił ją w spokoju, by nie dopytywał się o jej przeszłość. Przecież ona dla niego nic nie znaczy.

On jednak nie rezygnował. Stał przy niej i spytał:

- Ile miał lat?

- Ja... - Clare starała się zapanować nad sobą. Widząc, że Marchand wyciąga rękę, szepnęła: - Nie, proszę.

Fenwick opuścił rękę, lecz powtórzył pytanie.

- Cztery - wykrztusiła Clare przez ściśnięte gardło. - Wtedy cztery... Teraz miałby siedem.

- O cholera - zaklął Fenwick. - Powinnaś była mi od razu powiedzieć. Czy Louise o tym wie?

Clare przecząco pokręciła głową.

- Nie... Nie mogę... Nigdy nie mogłam o tym mówić.

- Dobrze - rzekł Marchand i przestał zadawać pytania.

Była mu za to wdzięczna, ale czuła, że musi natychmiast wyjść. W przeciwnym razie się rozpłacze i postawi ich oboje w jeszcze bardziej kłopotliwej sytuacji.

- Przepraszam...

Odwróciła się i niemal wybiegła z pokoju.

- Clare! - krzyknął za nią Marchand.

Nie zatrzymała się. Wbiegła na schody, nie zwracając już na nic uwagi. Rozplakała się, zanim zdążyła dobiec na górę. Nie mogła już dłużej nad sobą panować.

Weszła do pokoju i, zalana łzami, po omacku otworzyła szafę. Wyjęła z niej pudełko, w którym przechowywała fotografię synka. Byli na zdjęciu oboje. Trzymała Petera na kolanach.

Dziecko nie było do niej podobne. Teraz patrzyła jakby na podobiznę Johna Holsteda. Nigdy nie miała zdjęcia swego ukochanego, lecz pamiętała go doskonale. Miał dużo chłopięcego wdzięku, był przystojny, ale niepoważny i słaby. I John, i Peter już odeszli z jej życia na zawsze. Po raz pierwszy opłakiwała ich obu.

Przypomniała sobie, jak Johnny wyglądał, gdy widziała go po raz ostatni. Miał zaledwie dwadzieścia sześć lat, ale wyglądał na czterdzieści. Trzęsły mu się ręce, miał poszarzałą twarz i przygaszone spojrzenie.

Tego dnia byli razem w Londynie. Po załatwieniu wszystkich spraw pojechali do jego mieszkania i tam Clare wręczyła mu paczkę, której zawartości nie знаła. Potem nie mogła sobie darować tego, że była tak naiwna. Początkowo niczego się nie domyślała. Dopiero kiedy zainkasowali pieniądze za wierzchowca zabranego ze stajni jego ojca, Clare zaczęła podejrzewać, że Johnny tego konia ukradł. Nie powiedziała jednak ani słowa. Potrzebowała pieniędzy na leczenie syna i to było najważniejsze. Sposób ich zdobycia zdawał się sprawą drugorzędną. Część pieniędzy otrzymanych za konia odniosła pod wskazany adres. „Dłużnicy”, którym Johnny rzekomo był winien dużą sumę, przyjęli pieniądze, a w zamian dali małą paczkę. Pytanie, co w niej jest, zbyli śmiechem.

Clare więcej nie pytała. Schowała paczkę do kieszeni i czym prędzej wróciła do domu po obiecane pieniądze. Po trzydzieści tysięcy funtów, które miały jej dziecku uratować życie.

John bez słowa wyrwał jej paczkę z rąk i zniknął w łazience. Kiedy wrócił, wyglądał nieco lepiej. Miał błyszczące oczy i mniej szarą twarz. Zaczął coś bardzo chaotycznie opowiadać o ich wspólnej przyszłości po wyleczeniu dziecka. Być może nawet wierzył w to, co mówi. Możliwe, że łudził się, iż może zacząć życie od nowa. Dopiero po dłuższej chwili Clare zrozumiała, co wpłynęło na jego zachowanie.

Zerwała się i wbiegła do łazienki. Na półce leżała strzykawka, obok niej narkotyki. Przekonała się naocznie o tym, co powinna była zauważyć dużo wcześniej.

Wyszła z łazienki, wzięła pieniądze i bez słowa opuściła mieszkanie. John usiłował ją zatrzymać, błagał, by jeszcze została, lecz ona miała w uszach jedynie płacz chorego dziecka.

John umarł tego samego dnia wieczorem. Najprawdopodobniej jego osłabiony organizm nie wytrzymał kolejnej dawki narkotyku.

Peter też wkrótce zmarł w szpitalu. Pieniądze przyszły za późno; dziecko, wycieńczone chorobą, nie mogło już odbyć podróży za ocean. Clare nie chciała rozstać się z ciałem syna, lecz w końcu musiała opuścić szpital.

Przed wejściem czekało na nią troje policjantów: dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Niepotrzebnie aż tylu, bo dla Clare życie się skończyło i nic już nie miało znaczenia. Nie stawiała żadnego oporu i bez sprzeciwu podpisała zeznania.

Przyznała się do tego, że ukradła jednego z najlepszych koni lorda Abbotsforda. Sprzedała wierzchowca, kupiła narkotyki i dała je synowi hrabiego. Na swoją obronę nie powiedziała nic. Ani słowem nie zaprzeczyła kłamstwom opowiadanym przez całą rodzinę Holsteadów. Wprawdzie ich syn nie żył, ale jej syn też umarł. Żałowała, że i ona nie jest martwa.

Nie umarła, a nawet przetrwała trzy lata w więzieniu. Tam raz ją pobito, wiele razy rzucano groźby i często określano ją słowami, jakich nigdy w życiu nie słyszała. Więźniarki nie mogły jej darować tego, że jest na wyższym poziomie od nich. Clare nie płakała i nie skarżyła się, więc wreszcie zostawiono ją w spokoju. Była jedyną więźniarką, która nie liczyła dni do zwolnienia i nie planowała, co będzie robić po wyjściu na wolność. Uważała, że dla niej nie ma żadnej przyszłości.

Dopiero teraz rozplakała się jak nigdy w życiu. Rozpaczała tak, jak gdyby jej dziecko właśnie teraz zmarło. W końcu, wyczerpana, usnęła kamiennym snem.

Nie zbudziła się, gdy Fenwick Marchand wszedł do jej pokoju. Mężczyzna delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy i przykrył kołdrą. Przyglądał się jej, zdumiony, że we śnie Clare wygląda jak bezbronne dziecko.

Podniósł z podłogi fotografię i uważnie obejrzał. Dziewczyna widoczna na zdjęciu była młodziutka i szczęśliwa. Miała piękne rude włosy i błyszczące zielone oczy. Spojrzał na śpiącą. Jej twarz była szczuplejsza i naznaczona cierpieniem, lecz nadal piękna. Fenwick zapragnął otrzeć jej łzy i złagodzić ból, ale nie bardzo wiedział, jak to zrobić.

Uważał, że nie zawsze umie właściwie postępować z ludźmi. Przekonał się o tym już dawno i dotychczas się tym specjalnie nie przejmował. Lecz teraz, ta dziewczyna...

Zorientował się, w jakim kierunku zmiierzają jego myśli i postanowił natychmiast przerwać taki tok rozważań. Wmawiał sobie, że ta kobieta jest dla niego niczym. Nic w jego życiu nie znaczy. Została mu po prostu narzucona przez siostrę. Rozsądek nakazywał mu pozbyć się jej jak najprędzej.

Jeszcze raz przyjrzał się śpiącej. Clare widocznie poczuła jego obecność, gdyż otworzyła oczy. Przez chwilę wpatrywała się w Marchanda, jakby go nie poznawała; była nadal w krainie snu.

- Już dobrze, nie bój się - powiedział Fenwick i położył dłoń na jej czole. -
Martwiłem się o ciebie. To moja wina - mówił uspokajająco.

Clare jednak nie czuła strachu. Była rada, że się obudziła, ponieważ rzeczywistość okazała się lepsza niż jej sny.

Pogładził ją po włosach. Patrzyła na niego ufnymi oczami dziecka. Wyglądała pięknie. Niepokojąco pięknie. Marchand czuł, że powinien szybko wyjść. Natychmiast.

Mimo to został. Bez słowa pochylił się i ustami dotknął jej ust.

Clare zamknęła oczy i przestała myśleć. Wiedziała tylko, iż nie chce być sama. Że pragnie Fenwicka, tak jak on pragnie jej. Objęła go i mocno się przytuliła.

Przestali się zastanawiać, czy to miłość, czy tylko pożądanie. Nagle poczuli się sobie bliscy i wszystko inne przestało się liczyć.

Nieco później, gdy jeszcze leżeli spleceni w uścisku, Clare poczuła ogarniający ją wstyd. Odsunęła się i przykryła kołdrą.

- Przepraszam za to, co się stało - szepnął Fenwick i wstał.

Nie odwróciła się, gdy wychodził, lecz jej ciało i serce pragnęły go coraz bardziej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po tym, co zaszło, Clare z przerażeniem myślała o spotkaniu następnego dnia rano. Musiała jednak nadal spełniać swe obowiązki, więc jak zwykle zeszła do kuchni i przygotowała śniadanie.

Łudziła się, że Marchand się spóźni i pominie całą sprawę zupełnym milczeniem. Tymczasem ojciec i syn przyszli razem, punktualnie. Fenwick podszedł do niej i zapytał:

- Jak się czujesz?
- Dobrze - odparła, nie patrząc na niego.

Wyglądała, jakby była bardzo niewyspana. Rzeczywiście noc miała nie najlepszą, gdyż prawie nie zmrużyła oka.

- Musimy porozmawiać - powiedział półgłosem.

W milczeniu zabrali się do śniadania. Clare poruszała się jak automat. Gdy zrobiła wszystko, co do niej należało, przeprosiła i poszła do siebie. Natychmiast zaczęła się pakować.

Wkrótce przyszedł Fenwick.

- Co ty robisz? - spytał spokojnie.
- A jak myślisz? - syknęła w odpowiedzi.
- Przecież nie możesz odejść.

Zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu, nie zaś prośba.

- Ale zostać też nie mogę - rzuciła ze złością.

Marchand nie wszedł do pokoju, ale cały czas stał w drzwiach. Clare pomyślała z żalem, że sprawy zupełnie inaczej by się potoczyły, gdyby poprzedniego wieczoru też nie przekroczył progu jej pokoju.

Mężczyzna był spokojny i opanowany. Widocznie sumienie wcale go nie dręczyło po tym, co zaszło. Zapewne dlatego, że Clare nic dla niego nie znaczyła.

- Co mam ci powiedzieć? - zapytał rzeczowym tonem. - Że cię nigdy więcej nie dotknę? Czy chcesz tego naprawdę?

Serce jej mówiło, że wcale tego nie pragnie, lecz mimo to powiedziała:

- Tak, właśnie tego chcę.

Sądziła, iż Marchand zarzuci jej kłamstwo, lecz on jedynie wzruszył ramionami. Poczuli się niemal upokorzona.

- No, więc dobrze. Daję ci słowo, że się do ciebie nie zbliżę. Ale zostań.

- Nie mogę - uparcie powtórzyła Clare.

- Musisz. Ze względu na Milesa. Od przyszłego tygodnia nie będę mógł odbierać go ze szkoły. Wprawdzie może przyjeżdżać taksówką, ale w domu i tak ktoś musi być. Nie pamiętasz, że zgodziłaś się go pilnować?

- Wszystko się zmieniło. Przez ciebie - powiedziała z wyrzutem.

- Czyżby tylko przeze mnie?

Zajrzał jej głęboko w oczy, a następnie popatrzył na łóżko. Clare oblała się rumieńcem, ale musiała przyznać mu rację. Ona też była winna, ponieważ tak bardzo go pragnęła.

- Jeżeli jednak chcesz wycofać się ze zobowiązań - podjął Fenwick bezwzględny tonem - będę musiał powiedzieć o tym synowi. Na pewno go to nie wprawi w zachwyt, ale nie mam wyboru.

- O czym ty mówisz?

- Będę zmuszony posłać go do szkoły z internatem.

- To szantaż! - rzuciła Clare ze złością. - Chyba nie oczekujesz, że zostanę tu tak długo, aż Miles dorośnie i nie będzie mu potrzebna żadna opieka.

- Może nie aż tak długo - przyznał Marchand - ale mam prawo wymagać, żebyś przynajmniej dopełniła warunków umowy. Zgodziliśmy się, że przed odejściem dasz mi miesiąc na znalezienie zastępstwa.

- Miesiąc?

Odebrała to jak sądowy wyrok skazujący. Na szczęście pomyślała o dobru dziecka i przestała się buntować.

- Zostanę do końca semestru.

- To tylko trzy tygodnie - zauważył Marchand - ale dobrze. Ostatecznie mogę się zgodzić. Louise już zaproponowała, że zabierze Milesa na wakacje, więc wtedy i tak mogę się bez Ciebie obejść.

Clare poczuła ogarniającą ją zazdrość. Wycodziła przez zaciśnięte zęby:

- Na ten czas możesz przenieść się do pani profesor.

- Wiesz, coś takiego nie przyszło mi do głowy, ale to doskonała myśl - odciął się. - Dziękuję, że tak o mnie dbasz.

Ogarnęła ją taka wściekłość, że miała ochotę rzucić w niego trzymaną w ręku książką. Marchand wyczytał ów zamiar z wyrazu jej twarzy i się uśmiechnął. Clare usiłowała zgadnąć, co ten uśmiech oznacza. To pytanie dręczyło ją przez wszystkie następne dni.

W ciągu pierwszego tygodnia zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie stało. Nie reagował, gdy była niezbyt uprzejma, nie zauważał jej wyraźnej wrogości.

W drugim tygodniu zaczęły przyjeżdżać kandydatki na pomoc domową. Marchand zawsze umawiał się z nimi przed południem i w tym celu musiał specjalnie przyjeżdżać z uczelni. Postanowił dopiero w ostatniej chwili powiedzieć synowi, że Clare odchodzi.

Musiała przyznać, iż to dobre rozwiązanie. Uważała, że tuż przed wakacjami Miles nie zareaguje tak mocno na to, iż ona go opuszcza. Rozumiała też, że Fenwick musi szukać zastępstwa, lecz do szału doprowadzało ją to, iż wymagał, aby ona była obecna przy rozmowach. W dodatku zawsze pytał, jakie wrażenie zrobiła na niej dana kandydatka.

Nie bardzo wiedziała, czego on od niej oczekuje. Według niej żadna kandydatka nie była odpowiednia. Nawet jeśli nadawałaby się do sprzątnięcia domu, nie mogłaby chłopcu zapewnić odpowiedniej opieki. Clare uważała, że takie dziecko jak Miles potrzebuje kogoś szczególnego.

Musiała być obecna przy rozmowach, lecz na ogół nie brała w nich udziału. Taki stan rzeczy zmieniła czwarta kandydatka, miła trzydziestoletnia kobieta, która zwróciła się bezpośrednio do niej i zapytała bez ogródek:

- Czy można wiedzieć, dlaczego pani odchodzi? Clare milczała, więc Marchand się wtrącił:

- Panno Anderson, niech się pani nie kępuje i powie całą prawdę.

- Dobrze - odezwała się Clare - chce pani wiedzieć, dlaczego odchodzę, tak? Otóż rezygnuję, bo... bo...

Miała zamiar jakoś pogięć Fenwicka, lecz słowa uwięzły jej w gardle.

- Panna Anderson jest tym mocno zakłopotana - odezwał się Marchand, nie patrząc na Clare - bo prawda jest taka, że ja się w niej zakochałem. Wyniknęło stąd kilka niezręcznych sytuacji i panna Anderson, nie mogąc odwzajemnić moich uczuć, postanowiła zrezygnować z pracy u mnie.

Clare nie wierzyła własnym uszom. To, co Fenwick powiedział, nie mogło być prawdą. To wierutne kłamstwo!

Zdumiona młoda kobieta patrzyła to na Clare, to na Marchanda, jakby z ich twarzy chciała wyczytać całą prawdę. Widocznie uznała, że to jedynie żart i zaczęła chichotać. Przestała jednak, gdy jeszcze raz spojrzała na Marchanda i zrozumiała, że mówił poważnie.

- To... przyznaję... bardzo dziwne - rzekła półgłosem.

Widocznie całkiem niepojęte było to, że jakakolwiek kobieta może nie odwzajemniać uczuć tak przystojnego i czarującego mężczyzny.

W Clare wszystko się gotowało, czekała niecierpliwie na chwilę, kiedy zostaną sami. Przystąpiła do ataku natychmiast, gdy za młodą kobietą zamknęły się drzwi.

- Czy to miał być żart? Bo jeśli tak, to... - zawiesiła głos, uświadomiwszy sobie, że nie może Marchandowi niczym zagrozić. Dotychczas argumentem było wymówienie, ale w tej sytuacji...

- A jeżeli to wcale nie jest żart? - poważnie zapytał mężczyzna.

Clare nie chciała dać się zwieść. Nie mogła uwierzyć w taką miłość. Była przekonana, że profesorzy uniwersyteccy nie zakochują się w służących. Szczególnie, jeżeli służąca ma na sumieniu przestępstwo.

- Idź do wszystkich diabłów! - mruknęła i odeszła.

W następnych dniach nikt więcej się nie zgłosił, więc uznała, że Marchand już kogoś zaangażował. Wobec niej nadal zachowywał się z nienaganną uprzejmością. Zdawał się wcale nie zauważać jej wrogiego nastawienia, lecz któregoś dnia, gdy była wyjątkowo nieuprzejma, spokojnie zauważył:

- Zanim znajdziesz jakieś nowe miejsce, będziesz musiała dobrze nad sobą popracować.

Clare milczała.

- Czy masz już jakąś posadę? - zainteresował się.

Niewiele myśląc, burknęła:

- To nie twoja sprawa.

- Aha. Wobec tego sądzę, że nie potrzebujesz referencji. Clare mocno się przestraszyła, lecz nie dała tego po sobie poznać.

- Ale nie martw się - dorzucił Fenwick. - Pracujesz naprawdę solidnie, więc jeśli mnie ktoś o ciebie zapyta, tyle mogę powiedzieć.

- Dziękuję - szepnęła Clare, zadowolona, że ma tak przyzwoitego pracodawcę.

Nie zdobyła się jednak na uśmiech. Wiedziała, że musi nad sobą panować. Obawiała się, iż jeden nieopatrzny gest może wszystko zniweczyć i wtedy...

Czuła, że już zapomina o tragedii, jaką przyniósł jej poprzedni związek, a pamięta jedynie o rozkoszach, jakie niesie ze sobą miłość. Nadal uważała, że Fenwick nie może jej kochać, lecz wiedziała, iż sama mogłaby go pokochać całym sercem.

Na początku ostatniego tygodnia sprawy nagle przybrały zupełnie inny obrót. Przy śniadaniu Marchand był jak zwykle w nastroju pogodnie ironicznym. Na obiad jednak wrócił jakby odmieniony. Gdyby był zimny lub obojętny, byłoby to bardziej do zniesienia. Niestety, zjawił się w ponurym nastroju i zwracał się do Clare pogardliwym tonem wyższości. Patrzył na nią tak, jak gdyby przejrzał ją na wylot i to, co zobaczył wcale nie przypadło mu do gustu.

Clare miała ogromną ochotę zapytać, co się stało i w czym zawiniła, lecz Fenwick był tak nieprzystępny, że nie zdobyła się na odwagę, by do niego podejść. Liczyła już tylko dni do soboty, czyli ostatecznego rozstania.

Nie miała żadnych konkretnych planów. Louise obiecała, że przyjedzie i zabierze Milesa do siebie. Zaprosiła również Clare, która jednak odmówiła. Wywnioskowała z rozmowy, iż Louise nic nie wie o jej zamiarach. Postanowiła więc, że jej nie wtajemniczy, lecz zostawi wytłumaczenie wszystkiego Marchandowi.

Zdecydowała, iż nie pojedzie bezpośrednio do Londynu, ale zatrzyma się najpierw w Oksfordzie. Jednym z powodów było to, że egzamin z jazdy miał się odbyć dopiero we wtorek. Nie chciała zrobić jeszcze jednego głupstwa i rezygnować z możliwości uzyskania prawa jazdy. Wiedziała już, że umiejętność prowadzenia samochodu liczy się jako dodatkowa kwalifikacja.

Marchand nie odwołał żadnych lekcji z Dysonem, lecz kiedy w piątek przyjechał do domu i zobaczył Clare w towarzystwie instruktora, zrobił bardzo niezadowoloną minę.

- Wróciłem wcześniej, ponieważ musimy porozmawiać - oświadczył, gdy spotkali się na schodach.

- Porozmawiać? - spytała zaskoczona. - O czym?

- A jak myślisz? - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Oczywiście o nas. O tym, co robimy...

- Ja wiem, co robię - rzuciła wyzywająco. - Właśnie idę na lekcję...

Chciałabym przejść.

Fenwick stał nieporuszony. Clare zamierzała go obejść, lecz on schwycił ją mocno za ramię. Zdawał się nie pamiętać, że są obserwowani.

- Dyson już czeka - szepnęła Clare.

- Clare, idziesz czy nie? - krzyknął Paul Dyson.

- Clare! Paul! - szyderczym tonem powtórzył Marchand. - To już tak daleko się posunęliście? Nie odpowiedziałaś temu dżentelmenowi...

Wiedziała, że powinna już iść, lecz trudno jej było opuścić Fenwicka, gdy patrzył na nią, jak gdyby jej nienawidził. Spojrzała mu pytająco w oczy, chcąc odgadnąć, o co ją obwinia.

Marchand zrozumiał jej spojrzenie, ale nic nie powiedział. Przepuścił ją, lecz rzucił wściekłym tonem:

- Idź już. Porozmawiamy, zanim pojedę po Milesa. Odeszła ze spuszczoną głową. Nie raczyła poinformować Dysona o tym, co zaszło. Lecz po skończonej lekcji po raz pierwszy przyjęła jego zaproszenie na kawę i umówiła się z nim w Oksfordzie, w dniu egzaminu.

Wróciwszy do domu, poszła od razu na górę i zaczęła się pakować. Po chwili usłyszała dzwonek przy drzwiach wejściowych. Otworzyła młodą kobietę, której w pierwszej chwili nie poznała.

- Clare?... Czy pani jest Clare Anderson? - spytała przybyła z wahaniem w głosie.

- Tak - powiedziała Clare, nadal nie poznając gościa.

- To ja... Sarah Holstead.

- Aha. - Clare wpatrywała się w gościa, nie zapraszając do środka.

- Muszę z tobą porozmawiać. Czy mogę wejść? - spytała Sarah nieśmiało.

Clare stała nieporuszona. Wiedziała, że Fenwick i Miles przyjadą lada moment, a nie chciała dopuścić do tego, by zetknęli się z jej niespodziewanym gościem.

- Nie... Pan Marchand powinien już wrócić.

Sarah zrozumiała, o co chodzi.

- Więc później. Czy możemy się gdzieś spotkać?

- Nie wiem.

Clare była przekonana, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Wprawdzie Sarah nigdy nie traktowała jej źle, ale też nie była zbyt serdeczna.

- Muszę się z tobą spotkać - nalegała. - To bardzo ważne.

- Może jutro? W Oksfordzie...

- Przykro mi, ale to niemożliwe - przerwała Sarah. - Jutro wyjeżdżam z dziećmi na wakacje.

- Aha. Czy twoi rodzice wiedzą, że do mnie przyjechałaś?

- Nie. Ojciec już nie żyje. Zmarł w ubiegłym miesiącu i to jeden z powodów, dla których musimy porozmawiać.

Clare nachmurzyła się. Nie widziała żadnego związku między śmiercią lorda Abbotsforda, a swoim życiem. Nie złożyła Sarah kondolencji, ponieważ wcale jej nie współczuła. Żadne kontakty z Holsteadami już jej nie interesowały. Właśnie gdy chciała to powiedzieć, dostrzegła nadjeżdżający wóz.

- Musisz natychmiast stąd odejść - szepnęła.

- Dobrze, ale najpierw powiedz mi, gdzie i kiedy się spotkamy.

- Wieczorem... o dziewiątej. - Clare decydowała się bez namysłu. -

Wcześniej nie mogę. W pubie, który jest na skrzyżowaniu niedaleko stąd.

- A jak się ten pub nazywa?

- „The Old Corn Mill”.

- Jakoś tam trafię. Do widzenia.

Ojciec i syn zdążyli zauważyć nieznajomą.

- Kto to był? - spytał Fenwick podejrzliwym tonem. Clare wzruszyła ramionami.

- Jakaś przejezdna. Szukała pubu „The Old Corn Mill”.

Było to niemal zgodne z prawdą.

Marchand obojętnie wzruszył ramionami.

- Pamiętaj, że mamy porozmawiać. Obiecałem Milesowi, że przed obiadem zagram z nim w szachy, więc porozmawiamy po obiedzie.

- Nie mogę - powiedziała Clare, ciesząc się, że ma wymówkę. - Po obiedzie wychodzę.

Na twarzy Marchanda odmalowało się zdumienie.

- Wychodzisz? Dokąd?

- Na randkę - odparła Clare bez namysłu.

Fenwicka ogarnęła wściekłość.

- Z Dysonem?

Wolała nie wyprowadzać go z błędu. Mężczyzna spojrział na nią z pogardą i nie mówiąc nic więcej, wszedł do domu.

Podczas obiadu zachowywał się tak, jakby jej w ogóle nie było. Nie odzywał się do niej i nie zaszczycił ani jednym spojrzeniem. Przestała dla niego istnieć.

Clare posprzątała i natychmiast wyszła. Sarah czekała w umówionym miejscu i była w towarzystwie męża, szpakowatego mężczyzny lat około czterdziestu. Po chwili mąż Sarah przeprosił panie i wyszedł. Zostały same.

Sarah najpierw nerwowo opowiadała o tym i owym. Clare słuchała w milczeniu i niezbyt uważnie. Czuła, że upłynie kilka minut, zanim Sarah zdobędzie się na to, by przejść do sprawy, która przywiodła ją aż tutaj.

W końcu wyszło na jaw, dlaczego spotkanie było konieczne. Otóż Sarah miała wyrzuty sumienia. Nie dawało jej spokoju to, że w sądzie nie powiedziała ani słowa na obronę

Clare. Wiedziała przecież, iż brat od dawna się narkotyzuje i że to on jest ojcem dziecka Clare. Domyślała się też, dlaczego dziewczyna ukradła konia. A mimo to zachowała milczenie.

Clare nie przeszkadzała jej mówić, ponieważ myślami była w domu. Zastanawiała się nad tym, co Fenwick robi. Obawiała się, że zaczął pić, aby w ten sposób uczcić to, iż ona odchodzi.

Zaczęła słuchać uważniej, dopiero gdy Sarah powiedziała, jak zdobyła jej adres. Dotąd Clare była przekonana, że skontaktowała się z władzami więzienia i od nich otrzymała potrzebne informacje.

- Jakaś kobieta przyjechała do ciebie, żeby się o mnie czegoś dowiedzieć?
- spytała zdumiona. - Kto to był?

- Nie podała mi nazwiska - wyznała Sarah. - Ale powiedziała, że jest znajomą profesora Marchanda, który cię przyjął jako pomoc domową i dlatego chce dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. Nie miałam ochoty wtajemniczać jej w twoje sprawy, ale okazało się, że ona i tak już bardzo dużo wie. O tym, iż przyczyniłaś się do kradzieży konia i że Johnny brał narkotyki... Staralam się uczciwie naświetlić sprawę.

- A wiesz, jak naprawdę było? - zapytała Clare z powątpiewaniem w głosie.

- Wydaje mi się, że tak - cicho odparła Sarah. - Myślę, iż ukradłaś tego wierzchowca, żeby mieć pieniądze na leczenie syna. Nie wierzę, żebyś świadomie dała mojemu bratu narkotyki. A nawet, jeśli wiedziałaś, co robisz, on i tak był winien... Jednego tylko nie rozumiem. Dlaczego nie próbowałaś niczego wyjaśnić podczas rozprawy?

Clare wzruszyła ramionami. Pamiętała, że wtedy nic nie miało dla niej znaczenia.

- A czemu ty nic wtedy nie powiedziałaś? - zapytała z wyrzutem.

Sarah zarumieniła się ze wstydu.

- Chyba bałam się ojca. Rodzice nie chcieli przyjąć do wiadomości faktu, iż sami ponosili winę. Że to nie ty, lecz oni spowodowali śmierć Johna... Ale teraz wreszcie chciałabym ci to wszystko wynagrodzić.

Clare w pierwszej chwili nie wiedziała, o co chodzi. Zrozumiała, gdy Sarah wyjęła z torebki czek i położyła na stole. Czek opiewający na trzydzieści tysięcy funtów.

Była to suma, jaką otrzymała za współuczestnictwo w kradzieży. Ciekawe, czy sprawił to przypadek, czy też Sarah uważała, że taką sumą można wynagrodzić lata spędzone w więzieniu.

Poczuła wzbierający gniew. Wzięła czek do rąk i przedarła go na pół.

- Dziękuję - powiedziała i wstała od stolika. Sarah natychmiast też się podniosła.

- Wybacz mi, Clare. Postąpiłam bardzo niezręcznie, a naprawdę chcę, żebyś wzięła te pieniądze. Przecież na nie zasługujesz.

Clare przecząco pokręciła głową. Pieniądze przyszły o cztery lata za późno i teraz nie były jej potrzebne.

- Czy oczekujesz przebaczenia? - spytała, uśmiechając się z politowaniem. - Proszę bardzo. Mogę ci wybaczyć i nie musisz mi za to płacić.

Po tych słowach wyszła, zostawiając za sobą nie tylko Sarah, ale i całą swą przeszłość.

Szła do domu szybkim krokiem, zastanawiając się nad tym, co powie profesorowi Marchandowi. Jego postępowanie było niewybaczalne. Jeżeli zależało mu na tym, aby wszystkiego się o niej dowiedzieć, powinien był sam przeprowadzić dochodzenie. Mógł zapytać siostrę lub władze więzienne. W ostateczności mógł nająć prywatnego detektywa. To zaś, że posłużył się Rosalind było obrzydliwe i godne pogardy. Wreszcie jednak dowiedział się wszystkiego. I to zapewne sprawiło, że przez cały tydzień traktował ją, jakby była trędowata.

Marchand widocznie czekał na nią. Wyszedł do przedpokoju, jeszcze zanim zamknęła drzwi.

- Już wrócił do żony? - spytał szyderczym tonem.

- Co takiego? - Clare nie od razu domyśliła się, że chodzi o Dysona. - Nie wiem.

- Widzę, że cię to wcale nie obchodzi.

Wzruszyła ramionami. Nie chciała podejmować dyskusji, gdyż wiedziała, że lada moment może grozić wybuchem. Weszła na schody. Marchand dogonił ją na półpiętrze.

- Puść mnie! - krzyknęła i wyrwała się.

- Musimy porozmawiać - warknął Fenwick i znowu schwycił ją za rękę.

- O czym? - syknęła i chciała się wyrwać. Nie udało się. Tym razem trzymał ją mocno.

- O nas.

- O nas? Z nami koniec.

Marchand siłą odwrócił jej głowę ku sobie i zmusił, by spojrzała mu prosto w oczy. Przysunął się bliżej.

Clare poczuła, że jej gniew ustępuje innemu uczuciu.

- Koniec? - dopytywał się Fenwick. - To dlaczego tak mocno drżysz?

- Ja... bo...

Oblizwała spieczone wargi. Marchand położył palec na jej ustach, dłonią musnął policzek.

- Dlaczego to robisz? - szepnęła.

- Bo cię pragnę. Pragnę cię coraz bardziej.

Pochylił się i obsypał ją pocałunkami. Clare czuła, że robi się zupełnie bezwolna. Kiedy zaś otoczył ją ramionami i mocno przytulił, uświadomiła sobie, że uczucie, jakie ją ogarnia, to nie samo pożądanie, lecz miłość.

Prawdziwa miłość. Była tym przerażona, ale wiedziała, że to prawda.

Początkowo chciała się bronić, gdy prowadził ją do swego pokoju. Rozsądek nakazywał tak właśnie postąpić, lecz serce mówiło coś zupełnie innego. Postanowiła słuchać głosu serca.

Marchand zapalił światło w sypialni.

- Muszę cię widzieć i chcę, żebyś ty też mnie widziała. Chcę mieć pewność, że wiesz, iż jesteś ze mną, a nie z kimś innym.

Clare miała wrażenie, że w jego spojrzeniu pożądanie miesza się z pogardą. Przymknęła oczy i odwróciła się.

Fenwick przez chwilę milczał, po czym przyciągnął ją do siebie i mocno objął.

- Jesteś bardzo piękna - szepnął.

Clare wciąż była przekonana, że jej uroda dawno już przeminęła. Widziała jednak wyraźnie, iż Fenwick patrzy na nią z niekłamanym zachwytem. Wyczytała w jego oczach wielkie pożądanie. Sama pragnęła go chyba jeszcze bardziej.

Długo patrzyli sobie w oczy, jakby przekonując się nawzajem o tym, że się naprawdę kochają. Czuli, iż nareszcie łączy ich miłość.

Spędzili z sobą całą noc. Nad ranem oboje na krótko zasnęli. Clare obudziła się pierwsza i popatrzyła na leżącego obok mężczyznę. Twarz miał roz pogodzoną, po raz pierwszy od wielu dni. Dopiero teraz uznała, że jest on najprzystojniejszym i najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego zna. Spoglądała na niego oczyma pełnymi miłości.

Po pewnym czasie wstała i ubrała się. Chciała wyjść niepostrzeżenie, lecz Fenwick się przebudził. Wyciągnął do niej rękę i rzekł:

- Nie odchodź. Jeszcze nie wszystko omówiliśmy. Nie możemy się tak rozstać.

- Przecież dzisiaj odchodzę. Zapomniałeś? - zapytała, siląc się na chłodny ton.

Marchand natychmiast wyskoczył z łóżka, schwycił ją za ramiona i odwrócił ku sobie.

- Co ty wygadujesz? Odchodzisz?! Ot, tak sobie? Czy ta noc nic dla ciebie nie znaczyła?

Wiedziała, co dla niej znaczyła, lecz nie sądziła, by Fenwick przeżył ją tak samo. Nie rozumiała, dlaczego utrudnia jej odejście.

- A co mam ci powiedzieć? Że było cudownie? - spytała drwiącym tonem.

- Przyznaję, było wspaniale...

- Cholera! Czasami mam ochotę cię zabić!... Czy to przez Dysona?

Idziesz do niego?

- Do Dysona? - Clare ogarnęło bezgraniczne zdumienie. - Paul jest tylko moim instruktorem i nikim więcej. Wszystko inne sam sobie wymyśliłeś.

- Więc czego ode mnie oczekujesz? Co może zmienić twoją decyzję? Pieniądze, małżeństwo...? Co jeszcze? Mów!

- Małżeństwo? - powtórzyła tonem pełnym niedowierzania. - Przecież ty się nigdy ze mną nie ożenisz!

- Dlaczego tak uważasz? - spytał, pogardliwie wydymając usta.

Czuła, że z coraz większym trudem panuje nad sobą.

- Nie wygłupiaj się. Przecież dobrze wiesz, dlaczego.

- Nie wiem i dlatego proszę, żebyś mnie raczyła oświecić - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Profesorowie uniwersyteccy nie żenią się ze służącymi, szczególnie z takimi, które mają kryminalną przeszłość.

- Guzik mnie obchodzi, co robią inni profesorowie, a jeśli chodzi o twoją przeszłość, to przynajmniej tym razem wiem doskonale, co biorę.

- Naprawdę? No i co takiego bierzesz? Może nareszcie się dowiem, jaką masz o mnie opinię.

- Powiadomiono mnie o twojej przeszłości - rzekł Fenwick ze złośliwym błyskiem w oku.

- Powiadomiono, tak? - powtórzyła Clare. - Ale ty jesteś napuszony.

Dlaczego nie przyznasz się od razu, że to Rosalind wszystko o mnie wywęszyła. Założę się, iż z rozkoszą opowiedziała ci wszystkie szczegóły.

- Nie prosiłem pani Millar, żeby cokolwiek sprawdzała - oświadczył Fenwick. - Nie wiem, dlaczego to zrobiła.

- Ale chętnie jej wysłuchałeś, prawda? - rzekła tonem oskarżenia i nie mogąc opanować zazdrości, dodała: - Pogadaliście sobie o tym w łóżku, co?

- Wcale nie - zaprzeczył lodowatym tonem. - Wyobraź sobie, że nigdy z nią nie spałem... W te noce, kiedy nie wracałem do domu, siedziałem na uczelni tylko po to, żeby się trzymać z dala od ciebie!

Clare milczała.

- Ros Millar w ogóle się nie liczy - dodał twardo. - I zapewniam cię, że twoja przeszłość nic a nic mnie nie obchodzi.

- Nie wierzę! - upierała się Clare. - Od kiedy się dowiedziałeś, za co siedziałam, traktujesz mnie jak pariasa.

- No, więc przyznaję, że mnie to dręczy, ale chyba potrafię z tym jakoś żyć... Pod warunkiem, że ty będziesz ze mną.

- Jak długo to potrwa? Tydzień, miesiąc, rok? A kiedy się mną znudzisz, wtedy co? Jako wiernej służącej dasz mi trochę pieniędzy i odeślesz, tak?... Nie, dwa razy nie dam się nabrać na to samo - zakończyła z goryczą w głosie.

- Czy taki był koniec historii z Johnem Holsteadem? Zapłacił ci, kiedy się dowiedział, że będziesz mieć dziecko? - zapytał Marchand bez ogródek.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Tak i to duże. Zapłacił?

Clare przecząco pokręciła głową.

- Wcale mu nie powiedziałam. On już wtedy miał narzeczoną... bogatą, z arystokratycznej rodziny. Pomogła mi matka. Nie tyle pomogła, co dała pieniądze na usunięcie ciąży... Starczyło mi na pierwsze miesiące po porodzie.

- Ale potem jednak wróciłaś do Johna - rzekł gorzkim tonem. - Nie mogłaś wytrzymać z dala od niego?

- Od Johna? - Clare popatrzyła przez okno nic nie widzącym wzrokiem. - Wróciłam ze względu na matkę, która umierała na raka. Holsteadowie już ani trochę mnie nie interesowali.

- Tylko ich pieniądze - wtrącił Marchand bezlitośnie. Wzruszyła ramionami z rezygnacją i przyznała:

- Owszem, ich pieniądze tak.

- Więc ukradłaś im konia? - Fenwick powtórzył to, co usłyszał od pani profesor.

Uznała, że nie ma sensu zaprzeczać. Skinęła głową i bez słowa patrzyła w dal. Przyglądał się jej z napięciem.

- A po sprzedaniu konia dostarczyłaś Johnowi heroinę, która go zabiła.

- Można i tak to ująć - rzekła z ociąganiem.

Nawet teraz duma nie pozwalała jej powiedzieć czegokolwiek na swoją obronę. Podświadomie czekała na drwiny, więc bynajmniej nie spodziewała się tego, co usłyszała:

- Wcale ci nie wierzę.

Odwróciła głowę i popatrzyła Fenwickowi prosto w oczy. Ujrzała w nich nie ukrywane rozdrażnienie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tylko to, co usłyszałaś. Dlaczego nie powiesz mi całej prawdy?

Rozumiała, że daje jej szansę, by wreszcie komuś powiedziała, co naprawdę się wtedy stało. Miała jednak wątpliwości, czy szczerze wyznanie cokolwiek zmieni.

- Przecież to nic nie da - rzekła, wzdychając. - Mogę ci powiedzieć, dlaczego ukradłam konia i zapewnić, że zupełnie nieświadomie dałam Johnowi narkotyki. Ale czy to coś zmieni?

Popatrzyli sobie głęboko w oczy, które wyraźnie mówiły, że liczy się tylko to, co stało się tej nocy, liczy się tylko ich miłość.

- Masz rację - przyznał Fenwick. - To nic nie zmieni, bo ja mimo wszystko bardzo cię pragnę.

Wyciągnął rękę.

- Proszę cię, nie dotykaj mnie... - szepnęła. Udał, że nie słyszy.

- Przecież ty też mnie pragniesz i dlatego nic innego się nie liczy. Musisz zostać.

- Muszę? Muszę odejść, i to zaraz. Jeśli tego nie zrobię natychmiast, to... - Urwała, nie chcąc się przyznać do tego, czego się obawiała.

- Dlaczego tak się boisz? Czy uważasz, że potraktuję cię gorzej niż tamten?

Clare przecząco pokręciła głową. Ci dwaj mężczyźni diametralnie się różnili. Prawdę powiedziawszy, John nie był mężczyzną, a jedynie słabym, samolubnym i niedojrzałym chłopcem. Uświadomiła sobie, że chyba go naprawdę nie kochała. Natomiast teraz całym sercem pokochała Fenwicka. Tyle tylko, że miłość jej nie zaślepiała. Zdawała sobie sprawę z tego, iż daleka jest od jego ideału.

- Boję się, że się mną szybko znudzisz - wyznała. - To nieuniknione. Powinieneś związać się z kimś odczytanym, dowcipnym, na wysokim poziomie. Z kimś takim jak...

- Jak Rosalind - dokończył bez wahania. - Ale ona mnie nie pociąga. Pragnę tylko ciebie. Wiesz, ta pokora dziwnie do ciebie nie pasuje... Zresztą uważam, że jesteś bardzo inteligentna - dodał, powoli tracąc cierpliwość.

Popatrzyła na niego zdumiona. Zakładała, iż nie mając wyższego wykształcenia, uchodzi w jego oczach za mało inteligentną.

Czując, że coraz bardziej ulega pragnieniu, by zostać, usiłowała jeszcze się bronić.

- Mówisz, że mnie kochasz, ale ja ci nie wierzę. Na pewno chcesz tylko ze mną spać!

Marchand uśmiechnął się przekornie.

- Wcale nie zgadłaś, bo zamiast tylko spać, wolałbym robić znacznie przyjemniejsze rzeczy. - Widząc, że Clare się zachnęła, dorzucił: - Mogę jednak przystać na następujące rozwiązanie: zostań jako moja gosposia lub gość, albo w jakimś innym charakterze. To da nam czas poznać siebie bliżej. Jeśli się na to zgodzisz, obiecuję, że cię nawet nie dotknę i tym razem dotrzymam słowa, choćbym to miał przyplacić życiem. Clare wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. To, co mówił, zapowiadało okres zalotów, a przecież oboje wiedzieli, że nie są konieczne. Była już za bardzo pod urokiem tego niezwyklego mężczyzny.

- Czy proponujesz to ze względu na Milesa? - spytała podejrzliwie. - Bo jeżeli tak jest i nie znalazłeś nikogo na moje miejsce, powiedz otwarcie. Nie musisz udawać...

- Udawać? Czego udawać?! - wybuchnął Marchand. - Czy myślisz, że przez całą noc coś udawałem? A ty?

Schwycił ją i odwrócił ku sobie. Clare wiedziała, że wystarczy jedno małe kłamstwo i będzie mogła odejść na zawsze.

- Ja... - zaczęła i urwała.

Jej wahanie zdradziło wszystko. Fenwick przytulił ją i zaczął namiętnie całować. Po chwili raptownie się odsunął i ostro zapytał:

- Powiedz mi teraz, że nic a nic nie czujesz!

- Sam mówiłeś, iż to tylko pożądanie - odpowiedziała z wyrzutem.

- A co miałem mówić?! - rzucił z wściekłością. - Czy myślisz, że przyjemnie jest kochać kogoś, komu na tobie ani trochę nie zależy?

- Przecież mnie nie kochasz!

- Zapewniam cię, że długo broniłem się przed tą miłością!

- Przecież ty nie możesz mnie kochać! To niemożliwe! Jeśli nadal uważasz, że ukradłam konia i dostarczałam narkotyki...

- Nie wiem już sam, w co wierzę - przyznał Fenwick. - Serce, a nawet rozsądek podpowiadają mi, że tego nie zrobiłaś. Ale fakty są przeciwko tobie. Gdybyś mi tylko powiedziała całą prawdę... - zakończył niemal błagalnie.

- Pomyślisz, że to cikliwa historia - szepnęła Clare i odwróciła się. Po chwili milczenia, zrezygnowana, dodała: - Dobrze, powiem ci...

Opowiedziała wszystko krótkimi, urywanymi zdaniami. Słuchał, nie przerywając. Gdy zakończyła, spytał:

- Czy wiedziałaś, że kradniecie tego konia?

- Johnny twierdził, iż ojciec pozwolił mu sprzedać jednego konia, ale chyba coś podejrzewałam. Przyznam jednak, że mnie to nie obchodziło.

- Rozumiem... a narkotyki? Naprawdę nie zdawałaś sobie sprawy z tego, co jest w tej paczce?

Clare pokręciła głową.

- Nie miałam pojęcia, ale na to nie było dowodu... Pewnie myślisz, że to wszystko takie cikliwie... nieprawdopodobne.

Wstała i skierowała się ku drzwiom. Fenwick natychmiast się poderwał i stanowczo ją zatrzymał.

- Wierzę we wszystko, co powiedziałaś. Nie mogę tylko pojąć, jak to się stało, że cię wtrącono do więzienia. Czy Holsteadowie do niczego się nie przyznali? Przecież na pewno wiedzieli, iż ich syn też ponosił odpowiedzialność.

Clare westchnęła.

- Łatwiej im było udawać, że John padł moją ofiarą. Przynajmniej tak twierdzi jego siostra.

- Kontaktowałaś się z nią? - spytał podejrzliwie.

- Dopiero wczoraj wieczorem. Zgodziłam się na spotkanie w pubie.

- Z tą kobietą, która niby zabłądziła?

- Tak. To była Sarah Holstead.

- Odnalazła cię dzięki Rosalind? Clare przytaknęła w milczeniu.

- Czego chciała?

- Właściwie niczego. - Wzruszyła ramionami. - Chciała mi dać pieniądze... trzydzieści tysięcy funtów.

- Trzydzieści tysięcy! To niezła suma.

- Pewnie tak, ale jej nie przyjął.

- A szkoda - zauważył Fenwick z uśmiechem. - Bo wtedy mogłabyś oskarżyć mnie o to, że żenię się z tobą dla pieniędzy.

- Przecież się nie żenisz. Nie możesz. Nawet, jeśli mi wierzysz...

Mówiła coraz mniej pewnym głosem, ale Fenwick jej szybko przerwał:

- Wierzę.

- Nawet, jeśli mnie kochasz...

- Kocham.

- I nawet, gdybym ja ciebie kochała...

- A kochasz?

- To nie ma znaczenia...

- Czyżby? - Popatrzył na nią tak znacząco, że oblała się gorącym rumieńcem. - Według mnie tylko to jest ważne. Ja ciebie kocham i podejrzewam, choć może to zarozumiałość z mojej strony, że i ty mnie kochasz. Więc co nam przeszkadza być razem? Nic, tylko twoja nierozsądna duma.

- Moja duma?

- Oczywiście. Wmówiłaś sobie, iż cały świat uważa gosposię za nieodpowiednią żonę dla profesora z Oksfordu. A tymczasem duma ci podpowiada, że i tak jesteś dla niego za dobra... Więc postanowiłaś nas oboje unieszczęśliwić, byle tylko nikt nie mógł powiedzieć, iż się dobrze urządziłaś.

- Przecież to śmieszne! - wyrwało się Clare.

- Oczywiście - potwierdził Fenwick. - Dlaczego więc nie machniesz ręką na cały świat i nie wyjdiesz za mnie?

- Ja... ty...

- No więc? Decydujemy się czy nie? Mogę zapraszać gości i zamawiać orkiestrę?

Marchand, fałszując niemiłosiernie, zanucił słynnego marsza weselnego. Clare roześmiała się serdecznie. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak się śmiała. Jeszcze niedawno była przekonana, że jej życie się skończyło, a tymczasem zaczynało się od nowa.

Pobrali się miesiąc później. Wiele osób twierdziło, że takie małżeństwo nie potrwa zbyt długo. Po pewnym czasie wszyscy musieli przyznać, iż Clare i Fenwick stanowią wyjątkowo dobraną parę. Dla nich opinia innych nie miała najmniejszego znaczenia. Żyli wyłącznie dla siebie i swoich dzieci oraz dbali jedynie o to, by ich miłość wszystko przetrwała.